№ 45 Piątek, dnia 6 Sierpnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 25 Lipca (6 Sierpnia)
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769b.
(nowy 12) róg Nowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 44).

Nie było światła w salonie i tylko promienie księżyca co się wzbijał po nad wierzchołki pobliskich drzew, oświecały wnętrze pokoju i padały prosto na twarz grającej, jaśniejącą natchnieniem, które z duszy pod palce jej biegło i odradzało się w przepysznej improwizacyi. Janusz z założonemi na piersiach rękami, zatrzymując oddech w piersi, uchem chwytał tony świetnej fantazyi, a w duszy mu brzmiała echem pełnem; on ją tam całą odczuł. Patrzył na grającą i oczu od niej oderwać nie mógł. A jednak gdyby młody człowiek spojrzał w tej chwili na bok, możeby dostrzegł choć przelotnie dwoje pięknych niebieskich oczu co z cienia patrzyły na niego tak głęboko, jakby wzrok ten także biegł prosto z duszy. Wanda grać przestała, oparła się o poręcz krzesła, rączki opuściła i tak z błyszczącym wzrokiem z nawpół otwartemi usty zdawała się w zachwyceniu dosnuwać jeszcze resztę myśli natchnionej.

Milczenie zupełne trwało chwilę długą, przerwał je stary Michał, lokaj, co wnosząc światło, oznajmił donośnie.

— Wieczerza na stole!

Wszyscy się ruszyli i poszli do jadalnego pokoju, ale każdy widocznie był pod wpływem jakiejś obcej myśli, więc w milczeniu zasiedli do stołu; ogólna rozmowa nie dawała się utrzymać i pomimo, że każdy czuł się do niej obowiązany, szła tępo. — Po wieczerzy, Janusz zabawiwszy jeszcze chwilę poprosił o podanie mu konia, pożegnał domowych i odjechał, a znać nie śpieszył się, bo jechał wskróś wolnym stępem, wolno puścił cugle koniowi i nie kierował nim wcale, a koń parskając raźno szedł równym krokiem po dobrze znanej mu drodze.

Noc była cudowna, wszystko wokoło tchnęło uroczystym spokojem, a spokój to był nie martwy lecz senny tylko, bo i w śnie tym jeszcze cała natura życiem dyszała, rzęsista rosa srebrzyła łąki, ponad rowami unosiła się biaława para, to niżej to wyżej, powolna leciuchnym wiatru podmuchem, powietrze przepełnił balsamiczny zapach ziół i kwiatów a ciszę przerywały to beczenie bekasa-dubelta co podlatując nad brzegami rzeczki zbłąkaną owcę udawał, to chruściel dercze i dercze bez ustanku przebiegając łąkę w rozmaitych kierunkach, niekiedy przepiórka gdzieś tam w pszenicy się odezwie dźwięcznie, żaby taki homon podniosły że aż echo rozchodzi się daleko, a świerszczów tysiące chórem świergocą. Janusz tego wszystkiego po szczególe nierozbierał, choć widział i słyszał; dla niego niebyło to nowem, on to zdawna znał wszystko; ale co czuł, co pierś mu rozpierało w tej chwili, to było mu nowem zupełnie— marzył—przed nim jaśniała czarnooka postać Wandy opromieniona aureolą bohaterstwa i zdawała się nawoływać go do czynów wielkich, do prac potężnych a pod magnetycznym jej wzrokiem poczuwał w sobie siłę olbrzymią i wolę niezłomną, pragnął, wyzywał tytanicznej walki i na skinienie czaromocej dziewicy, gotów iść na śmierć po zwycięztwo. Dziwnie potężnym jest wpływ jaki kobieta jest zdolną wywrzeć na mężczyznę indywidualnie, a tem samem na towarzyszące okoliczności. Ktoś z głębokich francuskich badaczów tajników natury ludzkiej w każdym wypadku czy to fatalnym, czy szczęśliwym, gdziekolwiek duch lub materya udział mieć mogły, zanim przystąpił do rozplątania zawikłanej wątpliwości tak w sprawach kryminalnych jak w czynie bohaterstwa i ofiary, zwykł był pytać „ou est la femme"—i przekonywał zawsze dowodnie, że istotnie kobieta, matka, żona, lub kochanka, była główną faktu sprężyną. Ktoś u nas uczynił popularną, znaną powszechnie gadkę: — My rządzim światem a nami kobiety—i pod płaszczem ironyi ukrył prawdę głęboką i bardzo poważną, którą rozważywszy ściśle dojdzie łatwo do pewnika, że Opatrzność rządząca wszech światem, nie tylko że kobietę postawiła na straży ducha ludzkości, ale nawet u jego steru, jeżeli ją obdarzyła tym wpływem tajemniczym, co panuje nad materyą i rozumem mężczyzny. Janusz wpływu tego doświadczył na sobie. Zapał i energia którémi Wandę ujrzał natchnioną, przejęły go do gruntu jakby iskrą elektryczną i poczuł w sobie życie co zawrzało w nim zdwojoną siłą; chciał walki, chciał pracy, by mógł powiedzieć—patrz mężna dziewico i jam bohater!—marzył i pragnął, by kiedyś zdobywca cześcią okryty mógł ugiąć przed nią kolano mówiąc—przez ciebie,—dla ciebie.—Ona mu była archaniołem powołującym do zmartwychwstania, ową czujną niewiastą, co mówi „obudź się z niedołężnej drzemki, patrz praca na cię czeka." — Janusz poczuł się rzeźwy, ochoczy do czynu a Wanda stała się mu ideałem.

* * *

Kiedy tak młody Zadora wzburzony wrażeniem które nim do gruntu wstrząsnęło, zdążał a raczej sam koń niósł go stępo noga za nogą ku domowi, w Zalesiu tymczasem, ani obojgu Gasztoldom, ani panienkom na sen się nie zbierało. Wprawdzie pani Gasztoldowa już parę razy wspomniała panienkom, że do brze byłoby ażeby poszły spocząć po tak niezwykłem, rannem wstaniu dzisiejszem, ale obie zapewniły, że im się jeszcze spać nie chce, zeszły z balkonu i wziąwszy się pod ręce zaczęły błądzić po ścieżkach na około trawnika; szły obok siebie w milczeniu i wzrok ich błądził po niebieskiem sklepieniu i jakby siłą magnesu przyciągany oderwać się nie mógł od jasnych gwiazd tysiąca co świeciły nad niemi; na rozmowę zebrać się nie mogły, a jednak z oderwanych słów, które im się niekiedy z ust wyrywały znać było że nagromadzonych myśli każda z nich pełno miała—czy wypowiedzieć ich nie umiały—czy może... nie chciały—i po raz pierwszy poczuły potrzebę ukrycia ich—to trudno wiedzieć. A któż tam odgadnie wszystkie tajniki uczuć i myśli młodej dziewczyny!

Pani Gasztoldowa zbliżyła się do męża.

— Mój Władysławie — zapytała stłumionym głosem—czyś ty zauważał dzisiejszą grę Wandy?

— I jakże, dotąd mi ona wyjść z myśli nie może—jakaż to niezwyczajna siła jej muzyki była dzisiaj—cóż to za niepospolity talent.

— Ona zawsze objawiała do muzyki nadzwyczajne zdolności, ale dzisiaj to już widocznym jest talent twórczy, a tak potężny, że zdumieniem przejmuje.

— Skąd ona go wzięła, rodzice oboje nie byli muzykalni a panna Zahornicka grała nieźle, ale nie była wcale artystką, więc rozwinąć w niej takiego talentu nie mogła.

— Cóżby to było, gdyby Wanda miała jeszcze odpowiednich nauczycieli—mówiła pani Gasztoldowa—a po chwili dodała—a jednak zaniedbywać tego daru Bożego nie należy.— Umilkli oboje a Gasztold zdawał się nad czemś głęboko namyślać.

— Masz słuszność, rzekł po chwili namysłu, zaniedbywać tego daru nie można, któż wie naco jej dany, potrzeba dołożyć wszelkich starań ażeby go podnieść i wykształcić.

— Ale jak! tutaj na wsi tak trudno to zrobić.

— Potrzeba wyjechać do Warszawy.

— Do Warszawy? powtórzyła pani Gasztoldowa i z pewnym rodzajem niepokoju obejrzała się wokoło siebie.

W chwili kiedy zaczynamy tę powieść, to jest, dwadzieścia kilka lat temu, kobiety nasze nie tak obojętnie rozstawały się ze swoją siedzibą, nie tak łatwo rzucały dom, dla byle błahego powodu jak dzisiaj niestety to się robi; matki nasze umiały sobie stworzyć cały świat w czterech ścianach własnego domu, i ciężko im bywało opuścić to co dusza kochała, czem żyła; a więc i pani Gasztoldowa zaniepokoiła się na myśl opuszczenia Zalesia mąż spostrzegł to i dodał zaraz.

— Na czas jakiś rozumie się, na kilka miesięcy, widzę że ci ta myśl przykra — ale cóż robić.

— Mój drogi przerwała pani Gasztoldowa tu nie ma co myśleć o tem czy mi to będzie przykrem lub nie—to święty obowiązek który spełnić jestem gotowa. Oddawna już uważam, że nietylko zdolności muzykalne Wandy ale i umysł jej dziwnie bystry i łaknący wiedzy wymaga szerszej nauki, jak ta którą jej dać w domu mogliśmy; przyjąwszy w obec Boga i zmarłych rodziców opiekę nad sierotą; nie powinniśmy cofać się przed ofiarą nawet, gdyby tego była potrzeba, a nie zmarnować nic z tego czem ją Opatrzność obdarzyła. A więc mój drogi, zrób plan w jaki sposób mamy się z tem urządzić, a ja do tego się zastosuję i przygotowywać się zacznę powoli.

— Przy sposobnej chwili, poradzimy się i pomówiemy o *tem* szczegółowo, w każdym razie wyjazd nie nastąpi wcześniej jak jesienią po ukończonej siejbie. Szczęśliwa dziewczyna— dodał jeszcze pan Gasztold—jakże ją szczodrze natura uposażyła.

— Ach nie mów tak naprzód Władysławie któż to odgadnąć potrafi co kobiecie szczęście a co nieszczęście w przyszłości przyniesie? powiedziała z westchnieniem pani Gasztoldowa i znowu przeszła długa chwila cichego milczenia—Gasztold ją przerwał.

— Jak uważasz Janusza? zapytał żony.

— Dobrze—coraz lepiej mi się podoba— a wyznam szczerze iż widząc nieraz jak go matka aż do słabości kochała, myślałam że się chłopiec tem popsuje—a jednak pomimo to, wyrabia się z niego człowiek jak należy.

— A jak się wziął z zamiłowaniem do gospodarstwa — dopiero dwa lata jak objął zarząd majątku, a już zaczyna robić sobie u ludzi dobrą opinię; żydzi kupcy co tu byli onegdaj, w przeszłym roku zakupili u niego całą krestencyę i nie mogli się nachwalić jaki akuratny w interesie—i cóż to dziwnego, wszakże jabłko od jabłoni niedaleko pada; ród Zadorów zacny był zawsze.

Anna i Wanda weszły na schody, znużone oddały dobranoc i odeszły do swego pokoju, a wkrótce w całym dworze zaległa cisza; wszystko co żyło usnęło, oprócz stróża nocnego co przechadzał się przez czas jakiś pomiędzy zabudowaniami a potem i ten położył się pod kląbem na trawie, przekazawszy swoje obowiązki Kurcie i Krukowi dwóm podwórzowym kundysom, a ci podobno najsumienniej je spełniali i ułożywszy się w kłębek przy nogach chrapiącego stróża, czujnie wysłuchiwali warcząc głucho na każdy najlżejszy szelest.

(D. c. n.)

SŁÓWKO
o krytyce i krytykach naszych.

Na straży u ogniska literackiego stoi potężna władczyni, dzierżąca w jednej dłoni czyste zwierciadło prawdy i piękna, a w drugiej różdżkę satyrycznej chłosty. Miano jej *krytyka*. Trudnem jest i ważnem zaiste jej zadanie. Oddzielić fałsz od prawdy, miernotę od podniosłych blasków twórczego ducha— oto funkcya, dla spełnienia której wiele zasobów umysłowych potrzeba. Odróżniać tu należy krytykę naukową od krytyki estetycznej. Pierwsza trzyma w dłoni zwierciadło prawdy i wiedzy; druga—zwierciadło piękna, w którem jaśnieć też muszą promienie prawdy życiowej. Pierwsza opiera się na ostatnich wynikach nauki, druga hołduje idei piękna i potrzebom życia, przez współczesne jego dzieje wykazanym. Do pierwszej potrzeba albo potężnego myśliciela, któryby mógł stoczyć walkę z olbrzymem wiedzy, albo sumiennego pracownika w pewnej dziedzinie naukowej, któryby znając wszystkie jej tajnie i rezultaty mógł stanąć na arenie piśmiennictwa jako sędzia, gromiący fałsz, a wykazujący prawdę.

W dziedzinie piękna i natchnienia mniej jasne i proste widzimy drogi. Aczkolwiek są tu pewne normy, uznane przez większość estetyków, lecz w wielu względach panuje chwiejność i wielka dowolność poglądów. Indywidualne usposobienie i upodobania wiele wpływają na charakter sądu. Przytem zjawisko piękna nie da się tak pochwycić, zdefinijować i ocenić, jak zjawisko prawdy. Często, hołdując jednej i tejże samej zasadzie, jedni krytycy przyznają pewnemu utworowi istnienie niezbędnych jej warunków, a drudzy wskazują brak takowych. Słowem sfera ta chwiejna bardzo. Długiej zaiste potrzeba praktyki, aby wyrobić w sobie jasne pojęcia o sztuce i odróżniać świetlane jej promienie od bladych barw miernoty. Niezbędnem jest tu pewne poczucie wewnętrzne, pewne specyalne wykształcenie ducha. Sąd o sztuce wkracza poniekąd w dziedzinę samej sztuki. Tem się więc różni dziedzina krytyki estetycznej od dziedziny krytyki naukowej, czem sztuka od nauki. Analiza umysłowa gra tu również niepomierną rolę, bo też i sztuce nigdy ona obcą być nie powinna.

Skreśliwszy pobieżnie te *desiderata*, przypatrzmy się teraz obecnej krytyce naszej, czy spełnia ona należycie podniosłe zadanie swoje.

Chcąc mówić o krytyce naukowej, w dziwnym doprawdy znajdujemy się kłopocie. Jak tu mówić o tem, co nie istnieje prawie?! Wypływa to zresztą z ogólnego kierunku piśmiennictwa naszego. Minęły czasy powolnej pracy, sumienne i ścisłe studya naukowe, jak białe kruki rzadko bardzo się pojawiają. Nie mamy wykształconych specyalistów naukowych, a, jeśli są, to tylko w tych dziedzinach wiedzy, które dają się natychmiast zrealizować w życiu, przyczem praktyka całkowicie ich absorbuje i nie zostawia czasu na studya naukowe. Wszyscy prawie pracownicy pióra żyją na dorobku literackim, poświęcając się lekkiej, dorywczej bazgraninie przy organach prasy. Wina to po większej części fałszywego ustroju społecznego, przy którym przy najlepszych chęciach nie są oni w stanie poświęcać się specyalnym studyom naukowym w tych kierunkach, które nie realizując się natychmiast w życiu, nietylko nie przynoszą materyalnej korzyści, ale potrzebują nawet niemałych nakładów. Aby usunąć ten spaczony kierunek umysłowości, potrzeba zmiany stosunków wydawniczych, potrzeba aby myśl ogółu zapukała do krainy poważnej wiedzy. Wtedy tylko specyalne studya naukowe, poparte przez ogół, wejdą na drogę prawdziwego rozwoju. Tymczasem zadowolić się musimy lżejszą strawą umysłową.

U OGNISKA.

(T. T.) Gdybyśmy byli wesołymi Grekami, co lubili żarty a byli zarazem nabożni, powiedzielibyśmy: „Widocznie bogowie Olympu nie chcą krzywdy naszej. Dając nam w lipcu jesienne zimna, rozgrzewają członki, dla równowagi pożarami miast i miasteczek, że jest nam ciepło i gorąco nawet. Bóg zapłać bogom Olympu.“ Gdybyśmy byli surowymi Rzymianami, co bogów swoich, zarówno jak i ludzi, traktowali zwykle z góry i *en canaille*, zawołalibyśmy: „Do stu fur beczek! Co to za porządek tam w niebie! Nie dość że nam zimna, szarańczy i powodzi, burz piorunowych, które nas co dzień straszą, że potrzebujemy, przy tem wszystkiem jeszcze, patrzeć, jak Opole, miłe miasteczko i Końska-Wola, miasteczko drugie i Pułtusk trzecie i Brzeziny tam jeszcze i jeszcze jakaś jedna i druga ludzka siedziba, ulatnia nam się sobie z dymem najspokojniej i pali, jak stóg siana lub sterta suchego drzewa, w jednym i tym samym dniu prawie? Niech Jowiszowi za to broda posiwieje!“

Że zaś jesteśmy ślepymi Mazurami tylko, Mazowsznami lub Kujawiakami, narodem niewinnym, który żyjąc w prostocie ducha, sam nie wie nawet jak się nazywa, —modlimy się tylko do chrześcijańskiego Boga, patrząc na pożary grodów i grodków swoich, i... dajemy składki na tych co się popalili, do Redakcyi Kurjera Warszawskiego i Codziennego. Piękne są składki i szczytnem jest miłosierdzie serc naszych — modlitwy nasze warte są także czegoś; ale o ileż piękniejsze i szczytniejsze, prowadzące, co główna, bardziej do celu, byłyby sikawki, pompy parowe i beczki, straż ogniowa porządna i inne podobne rzeczy, gdybyśmy te rzeczy wszędzie już mieli!

Że Bóg pomaga tym tylko, co pomagają sami sobie i że „strzeżonego, niebo strzeże“ — stare to przysłowia i prawdy. Czemuż gdy je znamy, nie stosujemy się do nich? Patrzcie na Łódź oto—miasto to także z miast naszych; lecz że tam w większej liczbie niż gdzieindziej ludek niemiecki mieszka, a ludek ten jest *mądry* i *praktyczny* przedewszystkiem, (potem dopiero *litościwy*!) to choć on rachuje na pomoc bożą także i modli się gorliwie po kościołach swoich, porobił sobie jednakże pompy i sikawki—obok tego porobił i inne rzeczy, które ku gaszeniu są, a to iżby mu się nie stało, jak onym Opolanom i Końsko-Wolczykom w dzień piękny, i aby nie potrzebował, jak Pułtuszczanie, wołać do Warszawian o.... grosze

Niech rozum *niemiecki* łączy się tak wszędzie z *polskiem* sercem, niech *zapałom* naszym towarzyszy tak wszędzie *mądrość*, a z pewnością niewiele szczęść mniej mieć będziemy i dziać się nam będzie nie gorzej od... braci z nad Sprei.

Mówiąc o *zapałach*, nie możemy się jednakże powstrzymać i tu od uwagi, która niekoniecznie tym razem na korzyść samych serc już nawet wychodzi. Pan Grabiński, jak wiadomo, po zasłyszeniu zaraz o pożarze ostatnim w Pułtusku, powodowany szlachetną żądzą przyniesienia ulgi nieszczęśliwym, dał przedstawienie w Tivoli przeznaczając cały dochód z niego na pogorzelców. Przedstawienie tym razem nie składało się już z Offenbachiady żadnej ani Lecocq'iady — sztuki i sztuszki dobrane miały bawić szlachetnych Warszawian. Czemuż właśnie tak mało zebrało się widzów, gdy kiedyindziej zbiera ich

Brak specyalistów, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, brak krytyki naukowej, która, jeżeli się czasami pojawia, dostaje się zwykle w ręce profanów. Brak ten jednakże dochodzi do niezwykłych rozmiarów. Pomijając już oddzielne wydawnictwa naukowe, które wędrują po świecie bez żadnej kontroli literackiej, w pismach peryodycznych znajdujemy niekiedy drobne okruchy naukowości, które również żadnej nie ulegają krytyce. Słyszeliśmy nieraz z ust specyalistów, że w pewnym artykule są fatalne brednie naukowe. Czy jednakże który z nich podniósł ostrze krytyki. Broń Boże! — są to po większej części indywidua, zaabsorbowane prkatyką i nie myślą bynajmniej wtrącać się do prasy. Tymczasem przedstawiciele tej ostatniej, szkalując się o lada drobnostkę, prawdziwych usterek nigdy sobie nie wytykają, ogólnikowo tylko niekiedy zarzucając nicość umysłową, której jednakże umotywować nie umieją. Tym więc sposobem ogół zmuszony jest przyswajać sobie fałsz na równi z prawdą, myślątka literackiej mózgownicy na równi z prawdziwym blaskiem wiedzy. Smutny to stan i do smutnych prowadzi wyników! Błądzimy wśród ciemności umysłowej, gdzie żadne przewodnie światło nam nie przyświeca! Kiedyż kraina prawdziwej wiedzy obcą nam być przestanie!?

Przy zupełnym prawie braku oryginalnych prac naukowych, literatura obca stanowi jedyną dla nas skarbnicę umysłową. W tym też kierunku największe widzimy ożywienie. Wiele utworów mniej lub więcej znakomitych myślicieli obecnego stulecia przełożono już na język polski. Niektóre z nich znalazły łaskawe przyjęcie u ogółu. Czytamy je i zdobywamy sobie tym sposobem dorywczą wiedzę. Lecz czyż dzieło najznakomitszego nawet myśliciela wolnem jest zupełnie od błędnych wywodów, tymbardziej jeżeli autor nie należy do najnowszych badaczy w pewnej dziedzinie wiedzy. Czyż poglądy Bucele'a, Quetelet'a, Spencera i t. p. nie są w wielu punktach zachwiane. Tymczasem pożywamy te strawę umysłową żywcem, bez wyboru i krytyki. Tworzy się tym sposobem chaotyczny nieład poglądów. Cóż, jeżeli nie usunięta krytyka naukowa, będzie kierownikiem kształcącej się publiczności na drodze do świątyni prawdziwej wiedzy? Tymczasem najwybitniejsze wydawnictwa naukowe doczekują się u nas zaledwie krótkiej, ogólnikowej wzmianki. Trafia się niekiedy poważny rozbiór, ale bardzo— bardzo rzadko.

Nie żądamy tu żadnej oryginalnej krytyki, opartej na samodzielnych teoryach naukowych. Rzecz to koryfeuszów wiedzy! Pragniemy tylko znajomości ostatnich rezultatów nauki i historyi jej rozwoju, aby przy pomocy tej erudycyi wyróżnić prawdę od fałszu, prawdziwą naukowość od blagi i dyletantyzmu, aby wykazać o ile poglądy autora zgadzają się z ostatnimi wynikami nauki, a o ile już się przestarzały i nie wytrzymują krytyki na zasadzie nowo zdobytych faktów. Rzecz to zdaje się nie wielka. Nie potrzeba tu geniuszu ani zbyt wysokich nawet zdolności, potrzeba tylko sumiennej pracy w wybranej specyalności naukowej.

Szczególniejszy przywilej mają *prelekcye publiczne*, gdzie w formie popularnej pogadanki, wypowiadają się niekiedy prawdy naukowe. Wszystkie prawie pisma uważają sobie za obowiązek dać sprawozdanie. Rzadko jednakże piszą je prawdziwie wykształceni specjaliści; najczęściej dyletanci, a nawet i indywidua, które o przedmiocie traktowanym przez prelegenta nic prawie nie słyszały. Tacy zadawalniają się zwykle lichem przytoczeniem treści i kilku ogólnikowemi słowami pochwały lub nagany. A niechno który z tych panów powącha choć trochę specyalnej wiedzy, wnet z powagą mędrca podnosi ostrze krytyki i popisując się z dorywczo pochwytaną tu i owdzie erudycyą, gromi surowemi słowy.

Oto smutny, ale prawdziwy stan naszej krytyki naukowej.

Niezrównanie wyżej stoi krytyka estetyczna. Umysłowość nasza, wychowana przeważnie na płodach beletrystycznych, doszła w tym względzie dosyć wysoko. Mieliśmy znakomitych poetów, powieściopisarzy i dobrych krytyków estetycznych. I teraz nie można powiedzieć, aby płody talentu i natchnienia nie ulegały mniej lub więcej trafnej ocenie. Mamy kilku wcale niezłych krytyków, a takiego jak p. *Kaszewski* i obca literatura by nam pozazdrościć mogła. To też kiedy płody wiedzy oczekują nadaremnie na kompetentną ocenę, na lada drobnostce beletrystycznej oko tej wszechwładnej pani daleko prędzej spocząć raczy.

Jednakże i na polu krytyki estetycznej spotykamy wiele niewłaściwości. Rzadko jaki utwór ulega sumiennej, motywowanej ocenie. Mniejsze prace zbywane bywają zwykle krótką, ogólnikową wzmianką. Jakie znaczenie może mieć podobna wzmianka, wiedzą dobrze wszyscy, którzy mają jakąkolwiek styczność z warsztatem literackim. Wyobraź sobie, łaskawy czytelniku, że ci dają do oceny książkę, złożoną ze 100 lub 200 stronic, i ze względu na niezbyt wielką doniosłość jej treści pozwalają na 20 lub 30-wierszową tylko wzmiankę. Gdybyś chciał postąpić tak, jak ci sumienie nakazuje, wkrótce opuściłbyś warsztat literacki, udając się raczej do szewckiego, lub prosząc municypalność miasta, aby ci pozwoliła uczestniczyć w jakich robotach publicznych. Na przeczytanie bowiem książki musiałbyś poświęcić tyle czasu, iż nim za tak mozolną pracę przypłynęłaby do twej kieszeni nędzna dwuzłotówka, mógłbyś śmiało umrzeć z głodu. Radzisz więc sobie, jak możesz. Skracasz cudze oceny, albo prosto przerzucasz tylko stronice, a jeżeli autor obdarzył książkę wstępem, gdzie streszcza całą swą pracę, to wtedy prawdziwy benefis dla ciebie. Jeżeli jesteś jeszcze sumiennym, przytaczasz tylko treść dzieła, nie ukazując jego wartości. Ale iluż to jest surowych krytyków, którzy gromią utwór, nie przeczytawszy go wcale, lub przejrzawszy tylko dorywczo kilka kawałków. Ostatnia funkcya służy zwykle dla pochwycenia kilku frazeologicznych błędów, albo nawet—zecerskich. Niedawno mieliśmy przyjemność czytać pewną ocenę gdzie surowy krytyk gromi autora, czy też tłómacza, za przekręcenie słowa: „Salomon" na „Salamon." Za autentyczność tego faktu ręczamy.

„Nie będziesz zabijał niesłuszie najmniejszego robaczka!" — oto piękna zasada. „Nie będziesz szkalował niesprawiedliwie żadnego, choćby najdrobniejszego płodu literackiego!" oto druga, równie piękna zasada. Panowie krytycy winni pamiętać, że lekkomyślnością swoją wyrządzają ciężką krzywdę koledze po piórze.

Chcąc zaradzić złemu, panowie redaktorzy i wydawcy powinni albo płacić honorarya nietylko za napisanie kilkunastu wierszy, ale i za przeczytanie książki, albo przyjmować tylko motywowane obszerniejsze oceny. W najgorszym razie, pisma, które posiadają szczuplejsze ramy, mogą pomijać mniej doniosłe płody literackie. Co się zaś tyczy pism obszernych i zamożnych, to mają one tyle miejsca i zasobów pieniężnych, że poświęciwszy w każdym N-rze kilka szpalt na dział krytyczny i trochę więcej grosza na honorarya, wielkiego sobie tem nie przyczynią uszczerbku. Tym-

się o trzykroć więcej? Ta rzecz daje do myślenia—ba i bardzo! Myślimy, że p. Grabiński, mając wolność tym razem nie ścieśniania się względami własnej kieszeni, skorzystał z tej wolności, aby wypróbować jednocześnie i w sposób stanowczy, gust Warszawian. Owoż się pokazało, że pomimo całego szlachetnego celu, na jaki zostało przeznaczone przedstawienie,—dobre i chociaż najlepsze sztuki i sztuczki krajowe nie zdołały zainteresować na tyle naszej publiczności, aby ta w tej samej przynajmniej przyszła ich słuchać liczbie, w jakiej się zjawia na słuchanie francuskich operetek. Dziwna rzecz, że wszyscy dyrektorowie tym razem byli pod tym względem jednakowo usposobieni, że na wszystkich scenach pojawili się zarówno Korzeniowscy, Bogusławscy etc.... i wszędzie rezultat ten sam się okazał. Czytelnik niech z tego wyciągnie sobie sam wnioski — ja powiedziałem, co chciałem powiedzieć.

Otrzymaliśmy tedy pozwolenie od Władzy na otwarcie w Warszawie Muzeum Przemysłowego. Ktoś z naiwnych pomyśli już sobie zapewne: „No, to ta sprawa jakby już ukończona. Przygotować sobie czas tylko do oglądania pięknych rzeczy, które będą wystawiane w podobnem Muzeum — nic więcej." Podobnaż to rzecz bowiem, aby Rząd na otwarcie takiego Muzeum zezwolił, a my, abyśmy go otworzyć nie mieli? Składki się posypią — mieszkanie da jaki bogaty dobrodziej — szyld się nad drzwiami wywiesi— i koniec." O prostoto!—odpowiemy wówczas temu panu. Azaliż ci niewiadomo, czem jest projekt w Warszawie, a wykonanie jego? jak dalekiem jest urzeczywistnienie myśli jakiejś, choćby najpożyteczniejszej, od tejże myśli samej i od zezwolenia Rządu wprowadzenia jej w czyn? A zwierzyniec! a ogród zoologiczny! a to i owo jeszcze, do czego władza nietylko nie stawiała nam żadnych przeszkód, ale owszem, ofiarowywała się jeszcze z własną pomocą w razie potrzeby! Poczekaj panjeszcze— Wisła wyschnie do tego czasu, świat cały po dyamentowych chodnikach stąpać będzie, wyrosną drugie lasy na miejscu tych które wycięto, odkryją balony z kierunkiem dowolnym i... wojna w Hiszpanii się skończy, a Muzeum naszego przemysłowego, ani ogrodu Zoologicznego, ani chodników bez dziur i jam wilczych, ani kanałów któreby nie pachniały, ani wody do picia któraby była czystą, ani innych wie lu rzeczy, które nam są *zdrowe* i *dobre*, mieć nie będziemy. Powiecie może czytelnicy, iż ów pan zadałby kłam moim proroctwom przez przytoczenie Komitetu Sanitarnego, który w dniach właśnie ostatnich błysnął nagle jak meteor Warszawie i ma zamiar nawet zacząć niedługo funkcyonować? Fraszka!— odpowiem — komitet, to rzecz inna. Raz, że o utrzymanie przy zdrowiu i życiu ciała, idzie ludziom zawsze więcej, niż o utrzymanie przy takiemże zdrowiu *duszy*; powtóre: Komitet w Warszawie złożył się z inicyatywy więcej Władzy, niżeli naszej; potrzecie: Komitet liczy na gotowe w kasie miejskiej pieniądze; po czwarte: Komitet mógł mieć zawsze gotowe pomieszkanie w Ratuszu; po piąte: do utworzenia Komitetu potrzeba głównie samych ludzi, a do otwarcia Muzeum przemysłowego *przemysłu* i jego wyrobów; po szóste, po siódme i po dziesiąte, że to całkiem rzecz inna i zdarzyła się nam przytem, jak... ślepej kurze ziarno.

Przepraszam — ale takie mamy o tem zdanie.

Nie idzie za tem, abyśmy nie lubili przeczytać czasami dobrej i pożytecznej książki, o ile ta jest niedrogą i treścią swoją w granicę transcendentalnej filozofii z jednej strony,

czasem większość z nich zaledwie kilka razy narusza spokój swych recenzentów.

Jak w sferze nauki odczyty, tak w sferze sztuki teatr jest uprzywilejowaną krainą, kędy zaziera ostrze krytyki. Aczkolwiek rzeczywiście żywe słowo jest rzeczą najbardziej popularną i doniosłą, w każdym razie wartoby i o martwych literach pomyśleć. Kiedy lada lichotą dramatyczną szczegółowo zajmuje się krytyka, dlaczegóż znowu tak po macoszemu obchodzi się z drukowaną powieścią i poezyą. Znamy wiele jej płodów dosyć nawet pokaźnych, które oddawna daremnie oczekują na ocenę. W ogóle po większej części tylko znani już powieściopisarze znajdują gdzieniegdzie krytykę swoich utworów. Początkujący, którzy bardziej potrzebują poparcia literackiego, widzą dzieła swojego ducha, spoczywające w zapomnieniu na półkach księgarskich.

Jeszcze jedna ostatnia uwaga. Te z pism, które częściej pomieszczają krótkie zresztą wzmianki o wychodzących nowościach, robią to najczęściej bez żadnego systematu i wyróżnienia. Wszystko zależy od przypadku i rozmaitych względów. Tym sposobem to, czego by nie wypadało pominąć, pomija się, inne zaś prace, mniej zasługujące na wzmiankę, otrzymują takową. Przedewszystkiem sprawiedliwością, łaskawi panowie!

Prócz krytyk, mamy jeszcze tak nazwane *wzmianki bibliograficzne*, które są niby informacyą dla czytających, nie mają jednakże o wiele większego znaczenia nad proste księgarskie katalogi, objaśniają bowiem tytuł dzieła. Pół biedy jeszcze, jeżeli autorzy ich nie bawią się w doraźną krytykę, co się niekiedy im zdarza.

A. P.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Zobaczmy teraz dodatnią stonę ich działalności. Otóż zdarzały się wypadki, że zagrożony zemstą, wiedział że lada chwila stanie się ofiarą skrytobójcy, lub też dama protektorka powzięła podejrzenie, że mąż jej lub familja chcą zgładzić jej serdecznego przyjaciela; w takim wypadku jako jedyny środek zapobieżenia złemu, nastręczało się wynajęcie bravów obrońców. A larron, larron et demie.— Brawowie wtedy już, stawali się czułemi stróżami zagrożonego, jego nieodstępnymi towarzyszami przez czas pewien, aż niebezpieczeństwo minęło, lub walka między najemnikami dwóch stron, nie roztrzygnęła losu napastowanego*). Zwykle jednak w takim razie Bravowie, nie lubiący narażać swojej skóry, walczyli więcej podstępem niż bronią.

Ciekawy przykład użycia brava jako obrońcy z woli władzy, przedstawia nam historya. Już w połowie szesnastego wieku pewien rzemieślnik, daremno w najgrzeczniejszy sposób domagał się od jednego z patrycyuszów wynagrodzenia za swoją pracę. Kilkakrotnie wyrzucany za drzwi przez służbę, znajduje nareszcie sposob, rozmówienia się ze swoim możnym dłużnikiem, lecz ten zniecierpliwiony upraszaniem się biedaka, chwyta za pistolet i byłby zabił na miejscu natręta, gdyby mu osmielony niebezpieczeństwem pistoletu z ręki nie wyrwał. Po fakcie jednak, rzemieślnik namyślił się. Podniesienie ręki przez chudopachołka na magnata było sprawą gardłową, a z drugiej strony i zemsta owego patrycyusza, także straszną mu była i kto wie czy nie straszniejszą jak wyrok sądu. Nie namyślając się długo, rzemieślnik wybrał wyrok inkwizycyi i w tej chwili udał się do prezesa Rady Trzech, odkrywając mu szczerze całą prawdę. Oto jest ciekawy wyrok jaki w tej sprawie wydała Rada Trzech. „Ponieważ rzemieślnik N. dopominał się grzecznie u patrycyusza X. tego co mu się słusznie należało, a wyrwał pistolet z ręki X. jedynie w obronie własnego życia—przeto Rada Trzech skazuje tegoż patrycyusza X.

1. Na zapłacenie rzemieślnikowi N. całkowitej jego należności.

2. Zdeponowanie sumy 200 cekinów, jako kaucyę za życie tegoż rzemieślnika.

3. Wynajęcie i utrzymanie na koszt własny jednego brava, który odtąd na wszędzie chodzić i czuwać nad tym rzemieślnikiem aby mu się jaki wypadek nie przytrafił, gdyż z jakiej kolwiek przyczyny spadłoby na niego nieszczęście, patrycyusz X. byłby za nie odpowiedzialny, nietylko ze złożonej kaucyi, lecz z całego majątku i osoby.“

Jedną z najciekawszych instytucyi owego czasu był bez zaprzeczenia *sigisbeizm*. Kwitnął on w całych Włoszech, ale nigdzie bardziej się nie rozwinął jak w Wenecyi. *Sigisbeo* jestto stworzenie bezpłciowe, rodzaj sługi domowego, trzymającego środek między lokajem a przyjacielem domu, mający obowiązek, służyć i bawić panią, *bez wzbudzenia zazdrości* pana. Służba jego powinna się była ograniczyć, w dotrzymaniu towarzystwa pani, do nieopuszczenia jej jak cień i do uprzedzania wszelkich jej życzeń *dozwolonych*. Szlachetny Wenecyanin czuł się w ten sposób zwolnionym przez to factotum domowe od spełniania różnych domowych obowiązków życia małżeńskiego, które dla ludzi poważnych komicznemi były.

Sigisbeo od rana miał obowiązek stawiania się u swej protektorki, asystował przy jej wstawaniu z łóżka, pił z nią czekoladę i pomagał jej do ubrania; on towarzyszył swej damie do kościoła, na spacer i do teatru, on był ordynatorem zabaw, organizatorem balów i festynów, a często on także administrował prywatną szkatułą signory. Był on też radcą, przewodnikiem i pośrednikiem koniecznym. Raz przyjęty i zainstalowany *sigisbeo*, stawał się członkiem familii, inwentarzem domowym i ubliżeniem by było dla całego domu, zaproszenie pani na obiad bal lub przechadzkę bez jej *sigisbea*.

Najczęściej damy same sobie wybierały sigisbea; jednak bywały wypadki w których i mąż wpływał do wyboru, a zdarzało się nawet, że w umowie przedślubnej na skutek porozumienia się stron, był on wyraźnie oznaczony.

Liczba sigisbejów była zależna od godności i majątku damy. Nie było wypadkiem nadzwyczajnym widzieć damę wyższej godności idącą do kościoła w towarzystwie, pół tuzina sigesbejów. Jeden prowadził ją pod prawą rękę, drugi wspierał lewą; trzeci niósł jej wachlarz, czwarty mantylkę; piąty książkę do nabożeństwa a szósty poduszkę do klęczenia; w ten sposób prace były równo rozdzielono i każdy był zadowolony.

Wybór sigisbeów, był zarazem dowodem złego lub dobrego gustu damy. Najczęściej stawali się niemi *labusiowie* choć ci nie byli nazbyt w modzie. Jeżeli dama była piękna i bogata wtedy konkurentów było wielu i miejsce ciężko przychodziło; biedniejsze i brzydsze, zadawalniały się tem co Bóg dał, a w tedy najczęściej labusiem. Sigisbeizm znikł już w połowie XVIII wieku, a miejsce tego arche-

*) Ten rodzaj bravów i u nas był znanym. Wspominają o nim pamiętniki współczesne a Kraszewski powaga w znajomości naszych obyczajów XVII i XVIII wieku poświęca im wspomnienia w „Ostatnim z Siekierzyńskich.

---

a z drugiej znowu w granicę zbytniego pozytywizmu, nie wkracza. Dowodem tego wyczerpanie zupełne pierwszego wydania dziełka p. Jeleńskiego: „O samopomocy w kształceniu się“ i zamiar wydania tegoż dziełka po raz drugi, w poważnej jak na nasz kraj liczbie 2,000, wyraźnie dwóch tysięcy egzemplarzy. Szczęść Boże autorowi i...nam w dalszem czytaniu!

Obok książek podobnych, zdarzają się w tych czasach i inne lżejszej treści, o których, że zwłaszcza z pod kobiecej wyszły ręki nie godzi się nie powiedzieć ani słówka. Właśnie dla tego ostatniego względu i głównie dla tego ostatniego, zwracamy uwagę czytelniczek naszych, na bardzo *poczciwą* powieść, traktującą zresztą o powszednich ideałach, powszednim stylem i z powszednią rozwlekłością, p. t. „Zwycięztwo Heleny“ a podpisaną pseudonymem Z. K. Moglibyśmy się lękać, że ktoś bez oznajmienia naszego, iż rzecz o której mowa jest pióra kobiety, wziąłby ją może, widząc te dwie litery pod nagłówkiem, za utwór Zygmunta Kaczkowskiego. Mówimy: *moglibyśmy się lękać...* ale się nie lękamy. Autorka skalą talentu swojego wydaje nam się znacznie wyższą od p. Maryi Szeligi, znacznie niższą od pań Orzeszkowej i Morzkowskiej—a do talentu Zygmunta Kaczkowskiego tak jej daleko, jak.... od nas do Częstochowy, notabene gdy jeszcze nie znano żelaznych kolei!

Mówiąc o pracach literatek i autorek naszych, nie możemy się powstrzymać od zwrócenia także baczności czytelniczek, na artykuł pani Morzkowskiej, drukowany już w trzeciej swojej seryi przez Tygodnik Mód i Powieści, artykuł p. t. „Wydziedziczeni.“. Rzecz tam idzie zresztą o najżywotniejszą z najżywotniejszych dla nas kwestyi, bo o *służących* i o stosunku ich moralnym do nas. Pióro pani Morzkowskiej szczerze zawsze kochamy — ale przyznajemy, że ze wszystkich artykułów wstępnych i niewstępnych, któreśmy czytali utworu tej autorki, żaden nie podobał nam się tyle, ile ten.

Gdybśmy chcieli wdawać się w przygany i wypatrywać ździbła i ździebełka w oczach braci naszych, trybem innych znakomitych kronikarzy i literatów,—znaleźlibyśmy, obok wymienionych artykułów i inne, o których w sposób niekoniecznie pochlebny, odezwać by się trzeba. Że jednakże chwalić coś jest nam zawsze przyjemniej, nie powstrzymamy się przy okazyi od załączenia szczerej wdzięczności Tygodnikowi Ilustrowanemu, za naukowe, jakkolwiek nieoryginalne a tłómaczone, artykuły jego, które od niejakiego czasu zaczął najsystematyczniej w szpaltach swoich, zamieszczać. Oby pisma inne, mające dość do zadrukowania papieru, a lubiące go często poświęcać na ilustracye tylko same i obrazki, żadnego pożytku nie przynoszące wiedzy ani sztuce,—zechciały pójść pod tym względem, śladem Tygodnika! Przybywałoby nam wówczas zawsze coś do głowy po przeczytaniu tego lub owego pisma, i ogół nasz może sam by wkrótce zaczął bardziej smakować w pożywniejszej strawie, zamiast, jak to dziś, łaknąć wyłącznie tylko prawie lekkich powiastek i głupstw belletrystycznych.

Schodząc ze sfer wysokich literatury i... literackiej mądrości, na ziemię znowu, pytamy się czytelników naszych, którym Ognisko po seła się na ich zamiejskie, tak zwane letnie mieszkania, jakże tam na tych tak zwanych *letnich mieszkaniach*, czas przepędzają?

Cóż, prawda, że rozkoszy dużo użyli?

ologicznego zabytku, bądź co bądź w gruncie rzeczy niewinnego najczęściej, zajął zachowujący się dotąd *cavaliere serviente*.

Ale spostrzegam się że w tym niestety nazbyt pewno długim liście, zapomniałem mówić o kobietach Weneckich, kiedy powinienem im choćby z wrodzonego uczucia galanteryi najobszerniejszy poświęcić rozdział. Obaczmy zatem kobiety Weneckie tak jak nam je pokazuje historya, zanim wspóczesnym się przypatrzymy.—W epoce o której mowa t. j. w wieku XVI i XVII damy Weneckie zmuszone były używać szczudeł, wysokich co najmniej na dwie stopy, tak w domu jak i na ulicę. Modę tę jak utrzymują, wprowadzili zazdrośni mężowie, aby odjąć żonom swoim swobodę ruchów. Historya nie uczy nas, kto ją pierwszy wprowadził, ale za to wiemy, kto pierwszy się od niej wyemancypował; kobiety Weneckie zawdzięczają swobodę nóg swoich, córkom doży Dominika Contarini, które w połowie XVII wieku tak wprawnie broniły swej sprawy przed ojcem, przedstawiając że szczudła, robią je niezręcznemi aż do komiczności i zmuszają do bezustannego używania podpór na dwie strony, że doża kapitulował i zgodził się na zniesienie owych nieznośnych szczudeł.

Ubranie kobiece wszędzie jest bardziej urozmaicone i kosztowniejsze od męzkiego: Pójdźmy przez chwilę za pochodem wszechwładnej bogini mody w Wenecyi.

(*D. c. n.*)

O wpływie rozwoju ekonomicznego

na

CENY I DROŻYZNĘ.

ODCZYT

Adolfa Suligowskiego.

(Dalszy ciąg, patrz w Nr 44.)

Na szczęście jednak ta rewolucya w cenach ograniczyła się do pierwszej połowy XVI w. z wyjątkiem Anglii, gdzie najsilniejsze wstrząśnienie dało się czuć dopiero w drugiej połowie tego wieku [1]). Później zaś, pomimo ciągłych dalszych napływów, metale szlachetne nie upadły już w swej wartości, a tem samem dalszego podnoszenia się cen nie wywoływały. Okoliczność ta tłómaczy się wzrostem potrzeby złota i srebra. Z jednej strony powiększyło się użycie szlachetnych metalów na uboczne cele np. na przedmioty zbytkowe, z drugiej strony nadzwyczajny rozwój handlu i przemysłu nowożytnego, oraz rozszerzenie stosunków i obrotów pieniężnych wymagało daleko więcej środków cyrkulacyjnych, skutkiem czego spotęgowane i powiększone bicie monety nie mogło przynieść żadnych ujemnych skutków.

Skreśliwszy w kilku zarysach stan cen na początku nowożytnych wieków, przystępujemy do epoki najnowszej.

Wszystkie płody rolnictwa i innych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, to jest wszystkie takie dobra, w produkcyi których przeważa czynnik natury, w miarę rozwoju ekonomi publicznej coraz bardziej droższemi się stają. Przy niskim stanie kultury, powtarzamy, produkta naturalne udają się z taką łatwością, że lekka praca wystarcza do ich wytworzenia i otrzymania. Ziemia, lasy i wody pełne są pożytecznych przedmiotów, które czekają jedynie pukazania się człowieka. Dość schylić się, aby je zbierać. Początkowo też bywają one bardzo tanie. Lecz w miarę postępu cywilizacyi, cena ich podwoi się z dwóch przyczyn: raz dlatego, że w miarę wzrostu ludności, żądanie staje się coraz większe, powtóre dlatego, że źródło naturalne wyczerpuje się coraz bardziej.

Do takich przedmiotów należą: bydło, mięso, zboże, ryby, skóry, drzewo, etc. Oto parę przykładów:

Według tablic Edena, w Europie cena przecięciowa wołu w r. 1125 wynosiła 1 szyl. czyli 2 złp. i 2 grosze, w końcu XIII wieku $9^1/_2$ szyl. czyli około 20 złp. [1]). W Anglii pomiędzy r. 1550 — 1795 następujące były zmiany: Konie podniosły się od 2 funt. ster. 2 szyl. do 19 f. st., woły od 1 f. st. 16 szyl. do 16 f. st. 8 szyl. Bardziej rażący stosunek przedstawiają krowy, bo cena ich podniosła się od 16 szyl. do 16 f. st. i 8 szyl. A zatem konie i woły stały się tam w ciągu owego czasu 9 razy droższemi, krowy zaś 20 razy [2]). Wprawdzie na tak gwałtowne podniesienie cen, wpływało także obniżenie wartości pieniędzy, lecz chociażby pieniądze w owej epoce staniały dwa lub trzy razy tyle, to jeszcze główna przyczyna tej drożyzny stoi od nich niezależnie.

W średnich wiekach ryby w okolicach Elby i Renu były tak zwykłym produktem, że służący przy ugodzie wymawiali sobie, aby im nie dawano łososia częściej nad dwa razy na tydzień, gdy tymczasem w naszych czasach ryby stały się przysmakiem dostępnym dla zamożniejszych. U nas naprzykład, dawniej drzewo było niezmiernie taniem, dzisiaj zaś przy dobrem gospodarstwie właścicieli ziemskich, wycięte lasy nasze płyną do Niemiec po to chyba, abyśmy je kiedyś napowrót stamtąd sprowadzali. A co wówczas stanie się z dzisiejszą kilkonastorublową ceną sążnia i o ile jeszcze się ona podnieść może?

Co się tycze zboża, nie minięmy się z prawdą, gdy powiemy, że naprzykład w XVIII wieku korzec pszenicy kosztował u nas przecięciowo 5 złp., jaka zaś obecnie jest cena tego artykułu żywności, wszyscy wiemy. Nawet przed rokiem 1815 za czasów Księstwa Warszawskiego, życie było tańsze kilka razy niż dzisiaj. Stąd też pochodzą owe lamentacye na drożyznę dzisiejszą, a przesadne wychwalanie dawniejszej taniości, chociaż z uwagi na ciągłą zmianę warunków ekonomicznych i społecznych, nic w tem nienaturalnego nie ma.

Wobec podobnych faktów przyjść musimy do tego niewątpliwego wniosku, że produkta naturalne z biegiem czasu coraz bardziej drożeją. Co więcej, przyczyny tego zjawiska trwają ciągle i prawdopodobnie trwać będą, a tem samem drożyzna w tym kierunku wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wzrastać nie przestanie. Już powyżej, mówiąc o stanie artykułów tych w średnich wiekach, wskazaliśmy przyczyny ich taniości, na odwrót więc łatwo sobie wyobrazić powody ich drożenia.

Są jednak okoliczności, łagodzące skutki prawa postępowej drożyzny. Ulepszenia dokonywane w technice rolniczej, nowe wynalazki i maszyny ułatwiają i wzmagają produkcyę rolną, a tem samem wpływają na powiększenie zaofiarowania i obniżenie cen. Zaznaczając wszakże ten dobroczynny wpływ postępów wiedzy ludzkiej, dodać należy, że okoliczność ta nie znosi rozbieranego obecnie prawa i jedynie może zmniejszać gwałtowne jego skutki. Jakoż drożyzna produktów naturalnych byłaby dzisiaj nieskończenie większą,

[1]) Roscher. Zasady Ek. pol. str. 283.

[1]) Roscher. Zasady str. 267.
[2]) Roscher. tamże str. 273.

Wystawiamy sobie z opowiadań niektórych znajomych naszych, jak to miło być musi jeść np. na otwartem powietrzu obiadek i widzieć, jak ci świnka lub małe prosiątko pyszczkiem ryjka sięga na obrus na którym pożywasz, i świńskim języczkiem zupę z talerza wylizuje!

Albo li te roskoszne muchy, muszki i komary! Jak to brzęczy cudownie około twego nosa, gdy np. drzemki poobiedniej zachce ci się użyć pod oną chatką kmiecią, w której używasz lata.

Nie mówię już o szczurach, które ci wygryzają podeszwy—o myszkach czarnookich, które ci piszczą przez noc całą—o wodzie deszczowej, co na czuprynę ci się leje i... o zapachu z śmieci, które masz przed swoją budą.

Otóż tym wszystkim, co owych słodyczy używają, donosimy z pośpiechem, iż jeden z obywateli naszego grodu, do współki z drugim obywatelem jeszcze, powzięli myśl poetycznie-spekulacyjną, wybudowania w krótkim czasie dla użytku Warszawian, kilkunastu lub kilkudziesięciu specyalnych letnich mieszkań i że się wzięli do urzeczywistnienia jej nie na żarty. O ile wiemy, miejsce na takowe mieszkania jest już zakupione, rozpoczęły się pierwsze prace około domów, i wszystko reszta co potrzeba postępuje szybkim bardzo krokiem. Kierownikiem całej tej sprawy, jest znany nam z wielu innych już, pożytecznych podobnie i rozumnie pomyślanych innowacyi, właściciel instytutu wód mineralnych na Foksalu p. Schmidt, człowiek, któregoby doprawdy za przykład wszystkim innym obywatelom naszym, postawić można. Umieć godzić własny pożytek z dobrem ogółu tak, jak to czyni wzmieniony nasz współ-Warszawiak, rzecz prawdziwie godna pochwały i każdemu by ją kapitaliście zalecić należało.

A propos też właśnie owych wód mineralnych na Foksalu, nie możemy wyjść z podziwienia, dlaczego tak mało jeszcze dotąd osób na wody takowe uczęszcza. Że miejsce na cel ten jest bardzo szczęśliwie dobrane—o tem niema co i debatować; że inne warunki odpowiadają także celowi—rzecz pewna. Cóż więc może być przyczyną, że publiczność tak mało korzysta z wygody, która sama za siebie zdaje się mówić?...

Kwestya, którą trudno rozstrzygnąć.

Chciałbym zakończyć dzisiejszy mój feileton podaniem przyjemnej jakiej wiadomości... o zabawie nowej, która was czeka, o spodziewanym przyjeździe wielkiego jakiego człowieka z Europy.... profesora magii chociażby, chociażby takiego, co pchły tańczyć wyuczył na ręce.

Nie mogę!—o niczem takiem nie wiem niestety!

Wiem tylko o przybyciu pewnego pana, co się umieścił w rajtszuli obok Saskiego Ogrodu przy ulicy Królewskiej, a który to pan chce nam koniecznie pokazywać ładne optyczno-fantastyczne obrazy, ze sztukami jakiemiś tam jeszcze, o których że nic nie wiem, nic nie powiem. Podobno że te *pokazywania* rozpoczęły się już nawet w owej rajtszuli. Kto ma grosz do wyrzucenia, niech... zje porcyą lodów za niego.

Cyrku Salamońskiego dawno, jak wiadomo, już nie mamy. Pani Coroselli wyjechała niedawno. Teatr francuski ledwie się trzyma. W teatrze letnim zaczynają grać sztuki poważne. W teatrze Wielkim wysiedzieć niepodobna z gorąca... A toż to rzecz straszna! Co tu będzie robić wkrótce? co będzie robić!?

Tym rozpacznym krzykiem kończę dzisiejszą pogawędkę.

---

gdyby produkcya rolna nie postępowała naprzód. Rozwój pomyślny wszelkich gałęzi gospodarstwa rolnego zapobiegł nadmiernemu wzrastaniu cen na tem polu.

Z tem wszystkiem, obok dzisiejszej drożyzny, staje pewien pomyślny i pożądany objaw. Wprawdzie produkty naturalne więcej kosztują, ale ceny ich są dzisiaj stalsze. Nie ma już tych przeskoków od nadzwyczajnej taniości do nadmiernie wielkich cen, nie powtarzają się już peryodyczne głody, które charakteryzowały średniowieczną epokę. Główną przyczyną tego objawu jest rozwój handlu w ogóle, a handlu zbożowego w szczególności [1]). W istocie, kupcy nabywają wtedy, gdy towar jest tani, a sprzedają, gdy ceny pójdą w górę. Wprawdzie w czasach obfitości, skutkiem znacznych zakupów podnoszą oni cenę zboża, lecz za to w chwilach braku wpływają na jej obniżenie. W obu razach równoważą się ceny i nikną zbyt rażące różnice. Działalność taka jest ze wszech miar pożyteczną dla ekonomii publicznej. Ogromne zapasy zboża i innych produktów, przechowywane w śpichrzach przez przedsiębierczych spekulantów, zabezpieczają społeczeństwo od owych smutnych ewentualności, jakie trafiały się w wiekach średnich, a swoboda handlu zbożowego i zniesienie licznych ograniczeń, jakie dawniej krępowały jego rozwój, zabezpieczają narodom i światu niepewne jutro.

Nadmiar z lat urodzajnych pokrywa braki lat mniej obfitych. Z tego też powodu w obecnych czasach, klęski dotykające zbiory, mniej dotkliwemi się stają i nie tak znaczne wywołują zmiany w warunkach życia.

O ile dobra, w których produkcyi przeważa czynnik natury, coraz bardziej stają się droższemi, o tyle z postępem czasu produkty, w których praca i kapitał główną rolę odegrywają, coraz więcej tanieją.

Wartość i cena produktów przemysłowych zależą głównie od ilości pracy i nakładów, jakie przy ich wytwarzaniu poniesć należało; materyał surowy po największej części bardzo mało waży na tej szali. Każda zatem oszczędność w kosztach produkcyi przy przyjaznych okolicznościach, może obniżyć cenę tych przedmiotów i zwrócić się na korzyść konsumentów. Z postępem kultury ekonomicznej, podział pracy, maszyny, wynalazki, a jeszcze bardziej wzrost kapitałów i kredyt, wszystkie te okoliczności niezmierny wpływ na ułatwienie i rozszerzenie produkcyi przemysłowej wywarły i wywierają. Produkcya na wielką skalę pozwala wytwarzać liczne przedmioty, nieskończenie taniej, prędzej i obficiej, aniżeli to dawniej było możliwem, że zaś ulepszenia, wynalazki i kapitały coraz bardziej rozszerzają się, skutkiem tego i ceny przemysłowych produktów coraz bardziej tanieją. Szczególniej bieżące stulecie, które było epoką ogromnego rozwoju przemysłu, sprowadziło wielką zmianę w cenach wielu towarów. Według urzędowych tablic angielskich, w ciągu trzydziestu kilku lat, od r. 1798 do r. 1831 ceny niektórych produktów następującym uległy zmianom: towary wełniane staniały o 10%, miedziane o 17%, lniane o 28%, bawełniane o 11% [2]). Lata bliższe dnia dzisiejszego dostarczają bardziej stanowczych faktów. W Hamburgu w r. 1848 lepsze gatunki perkalików kosztowały tylko 18% ceny z roku 1818, gorsze zaś 28%, a zatem lepsze perkaliki w ciągu 30 lat stały się pięć i pół razy tańszemi, gorsze zaś cztery razy [3]). W Paryżu pomiędzy rokiem 1826 i 1849 wyroby bawełniane staniały o 12%, szale o 29%, wreszcie sukno o 74% [4]).

Ten ostatni produkt, jak widzimy, staniał znaczniej od innych, gdyż cena jego stała się cztery razy niższą. Zresztą dość przypomnieć sobie wygórowane ceny wszelkich produktów przemysłowych w wiekach średnich, ażeby się przekonać o dzisiejszej ich taniości.

(D. c. n.)

[1]) Roscher. Ekonomia rolnictwa str. 431.
[2]) Горловъ. Начала Пол. Экон. str. 491.
[3]) Горловъ. Тамже str. 491.
[4]) Горловъ. Тамже str. 491.

Kto pomaga matkom, wychowywać dzieci?

„Dziecię twe, należy do ludzkości! — woła Fryderyk Fröbel do matki,—zajrzyj w to małe serduszko, zgłębiaj pierwsze wrażenia budzącej się duszy, a błogiem, i interesującem wyda ci się to zadanie!“ Przytoczyliśmy tu zdanie, jednego z najpopularniejszych pedagogów, którego metoda, z zapałem przyjęta, tak potężną reformę w wychowaniu młodzieży sprowadziła.

Matka pojmująca swe położenie, z radością poświęci wszelkie przyjemności światowe, z roskoszą zacznie wychowywać swe dziatki, z zapałem i najzupełniejszem oddaniem się, będzie śledzić za ich fizycznym i moralnym rozwojem, gdyż wie, że dziecię jej, ów przyszły członiek społeczeństwa, należy do ludzkości i winno być oznajmione z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, jednem słowem winno być przygotowanem, do wielkiej pracy społecznej. Powołaniem więc kobiety—jest kształcić dziecię—od niej jedynie zależy, przyszły los tej istoty—ona pierwsza daje mu zajrzeć w ten świat, i przyspasabia je do godnego zajęcia mającego mu przypaść w przyszłości stanowiska; ona na ostatku, przeważnie wpływa na rodzaj tego stanowiska jakie ów przyszły obywatel ma zająć. I jakże śmiemy skarżyć się na szczupłość pola naszej działalności? Jakiem czołem, będziemy twierdzić, że kobieta, jest niczem, poddanką i niewolnicą — kiedy w rzeczy samej rządziemy światem, wychowując i kształcąc, jego obywateli. Wszystkie uczucia wzniosłe; miłość Boga i bliźniego, religijność, szlachetność i inne przymioty są w nas zaszczepione przez kobietę. Czy to matka, niańka lub nauczycielka nami się zajmowała, zawsze to była kobieta, o której emancypacyi, oddawna rozprawiają którą chcą wyzwolić z pod państwa, tem łatwiej dającego się zrzucić, że nigdy nie istniało, a świat, od początku do końca, rządzony jest w cichości, przez te kapłanki ogniska domowego,—kobiety.

Zdawałoby się więc rzeczą konieczną, ażeby wszystkie niewiasty, wyłącznie się wychowaniem dzieci zajmowały—a jednak tak być nie może. Naturalnie, mowa tu tylko o kobietach należących, do stanu zamożnego, którym obowiązki pani domu, obywatelki i kobiety światowej, często stają na przeszkodzie, w dopełnianiu świętych obowiązków kształcenia i wychowania swoich dzieci.

Takie osoby, mają zastępczynie, któremi jednakże kierować powinny, dzieci swych z oczu nie spuszczać, bo—wierzajcie mi Szanowne Czytelniczki, każda z waszych bon i nauczycielek, pilniej i sumienniej dopełni swych obowiązków skoro zobaczy, że dajecie baczenie na najmniejsze szczegóły należące do wychowania dzieci; ale chcąc być upoważnioną do tak nazwanego wtrącania się do czynności nianiek, bon i guwernantek, należy wprzód dokładnie wiedzieć, czego się po nich wymaga; zważyć czy przemiana, lub jaki nowy szczegół wprowadzony w użycie nie jest tylko wybrykiem naszej imaginacyi, kaprysem który by przy głębszem rozpatrzeniu, okazał się niepraktycznym, i dał tylko dowód braku zastanowienia, i miałkości rozumu pani domu. Togo Szanowne panie, zapewne sobie nie życzycie, gdyż te same bony i guwernantki, cieszyłyby się tylko, ze spostrzeżenia w was jakiego niedostatku, jakiej niepraktyczności. Otóż chcąc bliżej zbadać tę kwestyą, rozpatrzymy czegobyśmy wymagali od nianiek, bon i guwernantek, zróbmy przegląd ich obowiązków i w końcu roztrząśnijmy, jak z niemi postępować mamy.

Małe dziecię, zaczynające się rozwijać, potrzebuje nianki lub bony; najczęściej w domach dostatnich obie się znajdują—ubierają dzieci, prowadzą je na spacer i doglądają. One mają obowiązek dzieci bawić, a rzadko kiedy widzimy, ażeby się z dobrym skutkiem z tego zdania wywiązały, gdyż głowę mają zwykle zaprzątniętą czem innem; a w końcu brakuje im środków i sposobów zabawiania dziecka.

W Niemczech inaczej się dzieje. Tam rodziny zostające w dobrym bycie, najmują tylko nianki prawdziwie w swem powołaniu uzdolnione, gdyż płacić trzeba tak dobrze nieumiejętnej, jak dobrze uzdolnionej, a pieniądze wychodzą najprzód bez żadnej korzyści, a powtóre najczęściej ze szkodą moralną i fizyczną dzieci, ich straży powierzonych. Nianka wiejska, wchodzi w dom z rozmaitemi zabobonami, których w cichości, na swych wychowancach doświadcza, wpędzając ich w najniebezpieczniejsze choroby. Najbaczniejsza czujność nie jest w stanie temu zapobiedz, znajdą one zawsze porę napoić dziecię rozmaitemi ziołami, lub odwarem z makówek, aby spało. Dziecię zasypia snem twardym, ale czyż to jest sen naturalny? O nie, jestto odrętwienie, sprowadzone trucizną znajdującą się w tychże makówkach, której użycie sprowadza najsmutniejsze skutki, dające się zaledwie później spostrzegać na przytępieniu władz umysłowych.

Miejskie zaś nianki, po większej części mające dużo wolnego czasu, kiedy dzieci się bawią na spacerze, zajmują się plotkami, lub schadzkami miłośnemi, zostawiają dzieci na Bożej łasce, i nie troszczą się o nie bynajmniej; matki zaś tych biednych istotek, wygodnie rozsiadają się w miękkich fotelach, czytają romanse, lub zajmują się robótkami, spokojne o los swych dziatek. Otóż, młode matki, należałoby wam baczniejsze oko dawać na spacery dziatek waszych; niepodobna żebyście zawsze im towarzyszyły, zgadzam się na to zupełnie, ale możecie im naznaczać miejsce spaceru i zejść je tam niespodzianie, a pożytek z tego będzie dwojaki, najprzód niańka lub bona utwierdzi się w przekonaniu, że ciągle dajecie baczenie na nią, i na dzieci wasze, a wy szanowne czytelniczki, będziecie zażywały tego błogiego uczucia spokojności że rozkaz wasz, jeżeli nie przez poczucie obowiązku to przez strach nagany i łajania, a może nawet stracenia wygodnego miejsca, zawsze spełnionym bywa.

Żebyśmy mieli w miastach naszych, zakłady dla nianiek i bon podług metody Fryderyka Fröbla, tak jak to widzimy w Berlinie i innych miastach niemieckich, mielibyśmy zupełnie inne nianki i dzieci nasze lepiej i praktyczniejby się wychowywały. Pożytek z podobnego zakładu, byłby ogromny; najprzód klasa wyrobnicza chcąca posyłać swe córki w świat, jako nianki i bony, musiałaby wprzódy zmuszać je do uczęszczania na lekcye wykładane w podobnym zakładzie, matki te, i ojcowie najczęściej na wpół pijani, i żyjący w ciemnocie, koniecznością zmuszeni, śledziliby za pilną nauką swych córek, gdyż wiedzieliby że bez egzaminu i świadectwa, nie mogliby tak łatwo pozbyć ich się z domu,

z tą filozoficzną myślą; że „kiedy teraz nie umie, to się u ludzi nauczy!“ A my, chociaż byśmy nawet i drożej im płacić musieli, mielibyśmy tę pewność że bierzemy osoby wykształcone w swym fachu, nie zaś idyotki i nawpół dzikie stworzenia, za któremi pilniej niż za małemi dziećmi śledzić musimy, a które za wszystkie nasze starania, płacą nam niewdzięcznością i demoralizują się coraz bardziej. Do tego nierzadko się zdarza, że podobne niańki przebywszy parę lat w jednem miejscu i nauczywszy się poniekąd swego rzemiosła, dziękują za służbę i szukają szczęścia gdzie indziej.

Podobny brak ukształconych nianiek spowodował rodziców zamożniejszych do tego, że wszyscy niemal starają się o niańki i bony Niemki, a skutek otrzymany utwierdził wszystkich w przekonaniu, że Niemka potrafi, daleko lepiej dziecko bawić niż tutejsza niańka. Nie jestże to hańbiące dla nas, i zgubne dla dzieci naszych od urodzenia przywykających, do mowy, i zwyczajów obcych?

Osądźcie sami łaskawi czytelnicy!

(d. c. n.)

APTECZKA DOMOWA

opracował:

St. W. Łukowski,

(Dalszy ciąg).

IV.

Zimno zewnętrzne.

Zimno, użyte zewnętrznie, w postaci suchej lub wilgotnej, należy również do bardzo dzielnych środków domowych przeciwko wielu cierpieniom. Dobroczynny wpływ jego, okazuje się szczególniej wyraźnie: w gorączkach, zapaleniach i napływach krwi— kiedy mniejsze lub większe ochłodzenie całego ciała, albo tylko części rozpalonej, przynosi natychmiastową ulgę, i nierzadko, do zupełnego wyleczenia samo wystarcza.

Lecz korzyść, dająca się osiągnąć z zimna, nie ogranicza się wyłącznie na tem, że możemy za pomocą niego, usunąć nadmiar właściwej nam ciepłoty, i wogóle, dowolnie zniżać takową; zimno, wywołuje jeszcze inne w naszem ciele skutki, bądź to pierwotne, bądź też pochodne (t. j. zależne od oddziaływania ustroju), a które w danym razie, znacznie mogą ułatwić i przyspieszyć wyzdrowienie.

Skutki te czyli zjawiska, powstające w ciele naszem, przy działaniu nań zewnętrznego zimna, są następujące: zniżenie ciepła skóry a więc pośrednio i ciepła całego ciała (o czem wzmiankowaliśmy już wyżej), pobudzenie czynności nerwów,— skurczenie skóry i jej naczyń krwionośnych, przez co krew z tych ostatnich uchodzi głębiej, do narzędzi wewnętrznych, a przeważnie do płuc i mózgu, powodując tu często niebezpieczne nawały (congestio), dalej zimno sprowadza upadek pulsu, — i zmniejsza przeziew płucny oraz skórny, lecz powiększa wydzielanie moczu.

Jeżeli działanie zimna było tylko krótkotrwałem, wtedy pomienione zjawiska, w skutek oddziaływania ustroju, ustępują miejsca innym, zupełnie przeciwnym, a mianowicie: czucie nerwów skóry zostaje przytępione,— krew wraca do części przedtem wyziębionych, a z nią i ciepło przyrodzone, które niekiedy się wzmaga, wywołuje zarumienienie, palenie, kłucie lub swędzenie w skórze,—puls podnosi się i odzyskuje swą normalną ilość uderzeń,—przeziew, mało co, albo wcale nie ulega upośledzeniu.

Przy długotrwałem zaś działaniu zimna, zwłaszcza w stopniu wyższym, skutki pierwotne rozwijają się coraz bardziej, utrudniając oddziaływanie ustroju, a nawet mogąc je stłumić całkowicie, co w każdym razie grozi mniejszem lub większem niebezpieczeństwem. Często powtarzane użycie zimna, wpływa także na opóźnienie samowolnego oddziaływania, tak, że jeżeli kto np. po zanurzeniu się w zimnej wodzie i nastąpionem już oddziaływaniu, powtórnie ochłodzi swe ciało, wtedy bez porównania dłużej, niż poprzednio, musi oczekiwać zjawienia się w niem pochodnych skutków zimna i t. d.

Ważną więc jest rzeczą wiedzieć, w ciągu jakiego czasu należy stosować zimno względem naszego ciała, jeżeli nie chcemy oziębić go zbytecznie i nie utrudnić samowolnego od działywania. Lecz czas ten nie da się ściśle określić, gdyż wszystko zależy tu od stopnia zimna, a głównie od warunków osobistych. Im ciałoskład jest silniejszy i wytwarzanie się właściwego ciepła dzielniejsze, tem dłużej można się wystawiać bezkarnie na działanie zimna, w tym samym stopniu, który dla osób słabych i niezdolnych powetować tak łatwo utraty ciepła, okazuje się już szkodliwym. Zresztą, zjawienie się dreszczów w ciele, poprzedzających zazwyczaj oddziaływanie, stanowi dostateczną wskazówkę co do pory, w której usunięcie się od zimna jest koniecznem. W razie utrudnionego oddziaływania ustroju, można przyspieszyć takowe i zapobiedz przez to zgubnym skutkom nadmiernego oziębienia, za pomocą: czynnych ruchów (bieganie i in.), rozcierania skóry suchą flanelą lub szczotką, ciepłej odzieży i pościeli, picia gorącej wody i t. p. środków.

W zamiarach leczniczych, rzadko używamy zimna w wyższym stopniu (zimno zmrażające) i przez czas dłuższy, chyba miejscowo, na małej tylko przestrzeni, dla porażenia nerwów i zniszczenia jakich tworów chorobowych. Najczęściej zaś, poprzestajemy na zimnie umiarkowanem, w różnych stopniach, począwszy od lekkiego chłodu (10—16° R.), aż do temperatury lodowej (zero według termometru Reaumura lub Celsyusza) i nieco niższej, ale jeszcze nie takiej, żeby przy niej marzły ciecze, zawarte w komórkach ustroju; przy czem, stosownie do celu, wystawiamy na działanie zimna albo całe ciało, albo tylko część jego, krócej lub dłużej.

Środki, jakiemi posługujemy się dla zewnętrznego oziębienia ciała, są częścią *fizyczne*, mianowicie przykładanie materyi zimnych, jak: kruszce, kamienie, ziemia, błoto, woda, śnieg, lód i t. p., czy też obnażenie i zetknięcie ciała z zimnem powietrzem; częścią *chemiczne*, jak różne mieszaniny soli, które będąc zwilżone topnieją i rozpuszczają się zupełnie, a podczas tej przemiany, ujmują ciepło ciału, z którem się stykają,— tu należą np. saletra i sól amoniacka (albo warzelna), któremi posypuje się płótno, a następnie złożone w kilkoro, kładzie się na część, mającą być oziębioną, a wreszcie zwilża się wodą (okłady takie mogą zastąpić zupełnie pęcherz z lodem lub tak zwane płaty zlodowaciałe); wreszcie, ochłodzenie ciała daje się osiągnąć *przez stosowne umiarkowanie czynności przyrodzonych*, jak np. przez ujęcie krwi choremu, przez głodzenie, przez podwiązanie tętnic i żył jakiej części i t. p. gdyż to powściąga wyrabianie ciepła w całem ciele, lub też w pewnych jego częściach.

Ze wszystkich jednak środków rzeczonych, zimna woda oraz jej przeobrażenia— śnieg i lód, odpowiadają najlepiej naszym zamiarom, gdyż posiadają różne stopnie temperatury, szybko ujmują ciału ciepło, dogodne są w użyciu i wszędzie, a szczególniej pierwsza, znajdują się w obfitości.

Co do sposobów użycia zimna miejscowo, te nie mają wielkiego znaczenia, jakkolwiek są bardzo rozmaite; wskażemy je zresztą przy każdem cierpieniu. *(D. c. n.)*

Z ZAGRANICY.

V.

Wilkens o Thorwaldsenie. — Zaniedbana powierzchowność rzeźbiarza. — Poświęcenie Królowej. — Zapał Niemców.—Nowa era.

Oto wyszła niedawno w Kopenhadze książka p. t.: „Szkice z artystycznego i towarzyskiego życia Thorwaldsena“ napisane przez asesora Wilckensa, który o dziwo, był niegdyś służącym u znakomitego rzeźbiarza. Chodzi tu głównie o przedstawienie ostatnich lat z życia duńskiego mistrza

Pewnego razu bogaty Donner —tak między innemi scenami opisuje Wilkens — odwiedził przyjaciela swego Thorwaldsena, któremu przyszła ochota wymodelować biust Donnera. Donner niezmiernie tem ucieszony rzekł do swego przyjaciela: „Jakkolwiek zamiar twój sprawia mi wielką radość, jednakże nastręczają mi się w tym względzie pewne trudności, ponieważ w dniach tych nie mam ani chwili wolnego czasu. Thorwaldsen, który z raz powziętą myślą nie tak łatwo się rozstawał, przyrzekł przyjacielowi swemu wykończyć biust jego w ciągu trzech godzin. Donner w ten sposób zobowiązany, przyrzekł rzeźbiarzowi przyjść nazajutrz rano. Gdy Donner się oddalił, Thorwaldsen zawołał do swego służącego: „Tak Wilkensie, miejmy wszystko na pogotowiu, abyśmy jutro rano mogli przystąpić do dzieła.“ Nazajutrz Donner przybył wedle przyrzeczenia, o godzinie 9 rano i Thorwaldsen począł biust przyjaciela swego modelować.

Mnie, powiada wspomniany Wilkens, przykazał pozostać; żona moja zaś odbywała wartę w przedpokoju i nikogo nie wpuszczała, aby nie przeszkodzić pracującemu mistrzowi. Wielu mnie się nieraz pytało, ile też Thorwaldsen potrzebuje czasu dla odmodelowania biustu. Tym razem właśnie mogłem czas obliczyć. O godzinie bowiem 12 rzekł Thorwaldsen: „Dziękuję ci za ten raz, mój przyjacielu,“ na co odpowiedział Donner: „Tak Thorwaldsenie, to bardzo pięknie; ale jutro zmuszony będę wyjechać.“ „Dobrze, możesz sobie jechać, twój biust skończony—jeżeli masz ochotę zobaczyć takowy, to przyjdź do mnie jutro, Wilkens każe naprędce odlać jeden egzemplarz, abyś mógł sam zobaczyć.“ Nazajutrz jednak Donner nie przyszedł. Gdym opowiedział Thorwaldsenowi, że skrupulatnie uważałem ile też będzie potrzebował czasu do wymodelowania biustu Donnera, co jak się pokazało zajęło mistrzowi zaledwie trzy godziny czasu, Thorwaldsen odrzekł: nie śmiejże się głośno: „Nie tak szybko skończyłem jak ci się zdawało. Praca nad apostołem Tadeuszem zajęła mi 10 dni czasu licząc w to robotę odlewacza, a przytem byłoto zupełnie inne dzieło.“ Mowa tu o posągu zdobiącym obecnie kościół N. Panny w Kopenhadze.

Kapelusz, który Thorwaldsen przywiózł ze sobą z Włoch, dostatecznie był podniszczony; często też uważałem, że damy uśmiechały się robiąc różne uwagi nad owym starym i czerwonym kapeluszem. Pewnego dnia gdyśmy podczas pięknej pogody przechodzili przez miasto, widziałem jak wielu wzruszało ramionami z przyczyny owego kapelusza. Wróciwszy do domu zapytałem Thorwaldsena czy mam obstalować dla niego nowy kapelusz? „I na cóż to Wilkensie“? zapytał niezmiernie

zdziwiony, nic potrzebuję nowego kapelusza, ten jeszcze cały, nie przedarty przecież na dwoje". „Ależ, czy to trzeba nosić kapelusz aż się przedrze na dwoje" pozwoliłem sobie zauważyć. Toż samo działo się z obuwiem; kupował nowe kamasze gdy stare pękały przez połowę.

Razu jednego przyszedł lokaj od królowej Karoliny Amalii z zapytaniem, czy Thorwaldsen zechce następnego dnia przyjąć królowę i kilka dam przybyłych do stolicy. Damy te pragnęły go pozdrowić i zwiedzić jego pracownię; zawiadomiły przytem zarazem że przybędą do niego jeżeli pozwoli między 11–12 godziną, ponieważ przedtem mają zamiar zwiedzić kościół N. Panny. Thorwaldsen dał odpowiedź potwierdzającą. Gdym nazajutrz wszedł do jego pokoju polecił mi udać się na miasto dla załatwienia różnych interesów—zapytałem go tedy, czyby nie lepiej było żebym pozostał w domu, dopóki Thorwaldsen nie załatwi się z garderobą. Zachciało mu się jednak tego dnia dłużej w łóżku pozostać. Złożyłem więc obok niego potrzebną odzież i świeżą bieliznę i oddaliłem się. Gdym wrócił do domu żona moja opowiedziała mi iż królowa już przybyła. Okazało się że Karolina Amalia przyszła o godzinę wcześniej jak oznajmiła, Thorwaldlsen dowiedziawszy się od żony mojej, że królowa ukazała się, prosząc aby ją zameldowano, odrzekł: „Niech że N. Pani mi przebaczy skoro raczyła przyjść o godzinę za wcześniej. Ubiorę się jednak ile można najspieszniej, gdyż mąż pani zapewne jeszcze nie wrócił." „Nie, nie przyszedł" odrzekła żona moja. To nic nie szkodzi, jak przyjdzie, to mi go pani przyślij natychmiast, tymczasem sam sobie będę radził.

Gdym wróciwszy do domu o tem wszystkiem się dowiedział, czemprędzej udałem się do mego pana, którego zastałem w najgrubszym negliżu, dreptał jeszcze w rozdartych pantoflach, na sobie miał szlafrok, a na nieuczesanej głowie starą czapeczkę rafaelowską. I wyobraźcie sobie w takim to kostiumie stał przed królową usprawiedliwiając się przed nią co do swojej nieco (!) zaniedbanej toalety. Gdym wszedł usłyszałem słowa królowej, która widocznie na usprawiedliwianie się mego pana tak odrzekła: „Nie, kochany Terwaldsenie, my to raczej winnyśmy się usprawiedliwić, ponieważ przyszłyśmy zawcześnie; lecz w kościele N. Panny odprawiano właśnie nabożeństwo, przez co też nie mogłyśmy obejrzeć rzeczy godnych widzenia."

Therwaldsen bez żadnej ceremonii oprowadzał damy po pracowni swojej. Po przejrzeniu obrazów i posągów artysty, królowa wzkazała towarzyszkom piękny widok i ogród botaniczny, na który drzwi rzeźbiarza wychodziły. Thorwaldsen zapytał czy królowa nie zechce ogrodu zwiedzić, na co gdy zezwoliła podał rękę Karolinie Amalii i przeprowadził ją do ogrodu. Tu znów królowa z kolei ofiarowała Thowaldsenowi ramię, ponieważ z przyczyny chromej swej nogi z trudnością przyszło mu chodzić. Łatwo można wyobrazić sobie, że okna różnych sąsiadów zapełniły się widzami, którzy nie mogli wyjść z podziwienia ujrzawszy rzeźbiarza w jaskrawym negliżu prowadzonego poważnie przez królowę. W książce o której mówimy wiele jest ciekawych szczegółów o życiu znakomitego rzeźbiarza, który tym więcej nas obchodzi, że posiadamy dzieło rąk jego. Łatwo się domyśleć, że mówimy o posągu Kopernika na Krakowskiem-Przedmieściu. Jeżeli życie artysty nigdy prawie nie jest wolnem od tysiąca boleśnych przykrości, nieraz urojonych, ale mniej dotkliwych, to przyznać jednak należy, że miewają oni chwile bezprzykładnego w innych zawodach uznania. Oto dostojna królowa naraża się na złośliwe uwagi tłumu i bez żadnych skrópułów rzeźbiarza w zbyt zaniedbanej toalecie oprowadza po ogrodzie. Mało jest chwil równie uroczych w życiu wybranych i nie wielu z nich niestety poszczycić się może uznaniem podobnem za życia.

* * *

Upojenie i szał narodu niemieckiego w ciągu lat ostatnich dochodzi nieraz do dziwnej egzaltacyi, wśród której najtrzeźwiejsi myśliciele czynią przypuszczenia oparte na fanatycznem ubóstwianiu swego niemieckiego *ja*. Tym razem chcemy pomówić o egzaltacyi skierowanej do narodowego teatru. Przed kilkoma laty dowodzono z wysokości katedr uniwersyteckich i wtraktatach historyi literatury, że jeszcze nie nadszedł wiek klasyczny dla Niemiec. Doktorowie i krytycy w Berlinie dowodzili, że epoka począwszy od dzieł Lesynga aż do śmierci Goethego, stanowić ma właściwie introdukcyą do wielkiego i żyznego peryodu literackiego, który nastąpić musi po wielkiej unifikacyi Niemiec. Byli jednak tacy, którzy dowodzili, że jutrznia, która była już weszła przedtem, nie zapowiada bynajmniej południowego słońca równie wspaniałego; byli tacy, którzy ośmielili się dowodzić, że owo zjednoczenie iześrodkowanie narodu nie będzie arcy przyjaznem dla geniuszu niemieckiego, dowodzono nareszcie, że Prusy nie są bynajmniej narodem poetów i twórców i że wpływ kraju tego narodu nie oddziała zachęcająco na piszących. Nazajutrz po uskutecznionem zjednoczeniu, winniśmy byli być świadkami świetnego przebudzenia się; ognisko polityczne i społeczne utworzone przez unifikacyą miało wydać między innemi owocami, arcydzieła komedyi; dotychczas wedle teoretyków stworzenie *komedyi*, było niemożliwe, wyradza się ona bowiem w społeczności doskonale skrystalizowanej i usadowionej stale, w społeczności, która doszła już do swego celu narodowego. Wtedy bowiem dopiero typy jasno się zakreślają i wychodzą na jaw śmieszności wspólnie wszystkim sferom społecznym.

Dotychczas obiecanki te nie ziściły się, owo nazajutrz przeminęło jałowe. Teatr w Berlinie tęskni, a krytycy niemieccy nowej Germanji pokwaśnieli na humorze.

Brak miejsca każe nam uwagi te na chwilę przerwać. Przyrzekamy czytelnikom w przyszłej kronice przedstawić obraz obecny owego niedoszłego renesansu, który znakomicie przemawia na korzyść—Francuzów.

Z.

Z DOMU I DLA DOMU.

Rumbarbarum, jako warzywo [1]). Nie jeden zna roślinę rumbarbarum zwaną, którą napotyka się nierzadko na trawnikach i w ogrodach, gdzie rozpościera bardzo piękne liście, ale mało osób wie o tem, że ta piękna roślina stanowi bardzo smaczny i delikatny pokarm jako warzywo, niemniej smaczne i delikatne jak szparagi. Co do różnorodności użytków, to przdwyższa te ostatnie; używaną być może jako sałata, jarzyna lub wreszcie jako kompot. Liście obrzynają się kiedy są jeszcze młode i niestwardniałe, nie uszkodzając krzewu, masę liści usuwa się tak, że pozostaną tylko grzbiety i żeberka, te oskrobują się i przyprawia jak warzywo które ma zastąpić Sałata szczególniej jest smaczną, kiedy roślina związana w pęczki, przewiędnie w piwnicy. Rumbarbarum hoduje się z nasienia, jest rośliną trwałą i chroni się od przemarzania w czasie zimy przez lekkie przykrycie liściami. Najsmaczniejszy i najdelikatniejszy gatunek tej rośliny stanowi tak zwany „Królowa Anglii". (*W—k.*)

[1]) Pierwiastek tej rośliny, nadający jej zastosowanie w medycynie, niez awiera się w łodygach, ale w korzeniach.

* * *

O rozpoznawaniu barwnika w winie czerwonem. Do cylinderka szklannego zawierającego w sobie 20 centymetrów sześciennych objętości wlewa się 5—6 centmet. wina, dodaje do $^3/_4$ objętości eteru i dobrze skłuca. Następnie eter zlewa się. Jeżeli zabarwionym został na żółto i za wpuszczeniem kilku kropli amoniaku przybierze kolor czerwony, to wino zafarbowanem było drzewem kampszowem. Jeżeli zabarwiony jest czerwono lub fioletowo i nie zmienia tego koloru za dodaniem amoniaku, to do zafarbowania wina użytym został mech farbiarski. Jeżeli za dodaniem amoniaku ginie czerwonawy kolor eteru nieprzechodząc w fioletowy, to czerwony barwnik wina jest naturalnym. Jeżeli zabarwiony na czerwono eter, za dodaniem amoniaku utraca swój kolor, i amoniak nie barwi się to wino zabarwionem było fuksyną. Jeżeli eter odłącza się od wina niezabarwiony wcale, to bierze się nowę próbkę wina i dodaje podwójną objętość wody i pół objętości amoniaku. Jeśli wtedy wino przybierze kolor bezmętno czerwony, to zawiera w sobie koszenillę, jeśli zielony, to żadna z przytoczonych materyi nie znajduje się w winie. (*W—k*)

* * *

Podwajanie plonów. Ogrodnicy Londyńscy celem otrzymywania jak największych korzyści z drogiej tam ziemi używają z niej we wszelki możliwy sposób. Tak np. dla powiększenia i zdwojenia plonów, sieją w marcu rzadkiew i pietruszkę razem, w ogrodzie pomiędzy drzewami. Poniewaz nasienie pietruszki bardzo trudno kiełkuje i późno wschodzi, przeto przed rozwinięciem się roślinek pietruszki, rzadkiew zostaje już zebraną. W czasie wzrostu pietruszki drzewa rozwijają się i ocieniają grzędy na których rośnie pietruszka. Po rozwinięciu się, roślinę okopuje się lub też wybiera inne, również ocienione miejsce i flancuje rzędami; przez takie postępowanie nietylko korzystają z owocu drzew, ale z podwónego zbioru rzadkwi i pietruszki—szczególniej uważają i sądzą, że pietruszka wyhodowana tym sposobem jest delikatniejszą i smaczniejszą aniżeli w inny sposób. Rozumie się że takie i temu podobne wyzyskiwanie ziemi może mieć miejsce, gdy ta już jest w pewnej kulkurze i użyźniona odpowiedniemi częściami składowemi nawozu. (*W—k.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 25 Іюля (6 Августа) 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 44).

— Będziesz czasem o mnie myślała, kiedy będę w Petersburgu, dodał po chwili. Nie czułbym się tak opuszczonym, ani odległość tak wielką by mi się nie wydawała, gdybym... gdybym wiedział....

Wahał się, nie dlatego, żeby mu słów brakowało, ale dlatego że się obawiał wymówić jakie mogły najpierw się przedstawić.

— Czy nie wejdziesz, panie De Benham, i nie odwiedzisz papy? powiedziała panna Alleyne.

Coraz mniej wiedział co mówić i czynić. Pojmował doskonale, że niechciała rozumieć jego nic nie znaczących na wpół ukrytych czułych słów.

— Przykro mi kiedy mnie nazywasz panem De Benham, Julio, powiedział z wymówką, i czekał na odpowiedź albo na zapytanie, ale się nie doczekał ani jednego ani drugiego.

— Jednak, powiedział z westchnieniem, nie mogę wejść. Pytałem się o pana Alleyne i mówiono mi że zajęty. Na drugi raz może będę szczęśliwszym.

— Jak pan powrócisz z Petersburga, rzekła panna Alleyne.

— Tak—ale mam nadzieję, że to będzie bardzo niedługo, za trzy lub cztery tygodnie.

— Pan wyjeżdżasz w samą porę, powiedziała panna Alleyne. Słyszałam że Rosyą, trzeba zawsze zwiedzać w zimie.

— Kiedy się umie pamiętać o swoim nosie.

— Potrafisz przecie dopełnić tego obowiązku panie De Benham, rzekła śmiejąc się.

— Niewiem doprawdy. Zdaje mi się że trudniej będzie strzedz swego nosa w Rosyi niż swego serca w wielu innych miejscach.

— Nic mam żadnej wątpliwości, że potrafisz pan jedno i drugie ustrzedz, powiedziała panna Alleyne, trzymając rękę na sztachetach Nie chcesz więc wejść? Cóż mam papie od pana powiedzieć?

— Że mi bardzo przykro, że zajęcia jego nie pozwalają mi się z nim widzieć, i że spodziewam się niedługo przywieść mu wiadomości ze stolicy cesarskiej.

— Nic omieszkam mu tego powtórzyć. Szczęśliwej podróży.

— Dowidzenia, dowidzenia, Julio, rzekł biorąc jej rękę w swoje obydwie.

Ale ona wyrwała się i pobiegła po schodach ciągle uśmiechnięta i powtarzając: Szczęśliwej podróży!

Poczekał dopóki drzwi nie otworzyła i nie weszła do domu, a potem odszedł nie bardzo wesoło, udając się znowu do ogrodu Kensington. Czy zapomniała? pytał się siebie.— Czy doprawdy zapomniała, lub czy też tylko udawała zapomnienie? Jak wesołą się wydawała i jak obojętną! A jednak zbladła kiedy go zobaczyła; zbladła i był pewnym że drżała. Czy ta wesołość była zupełnie nieprzybraną? Zdawało mu się także że schudła i że nie tak ładną była.

Byłby chciał żeby nie tak wesołą się ukazała, żeby nie tak ciągle się uśmiechała; byłby wolał żeby była milczącą, wzruszoną, smutną, ale ona wcale taką nie była. Wprawdzie zbladła na chwilkę, ale zaraz odzyskała przytomność; głos jej nawet nie zadrżał kiedy się z nim żegnała. Tem lepiej, nie będzie tak za nim tęsknić, pomyślał, jak matka jego tęskniła, wszystkie te niepokoje i cierpienia były jej oszczędzone, tem lepiej więc że tak było. Czuł że powinien był cieszyć się dla niej tym obrotem jaki wzięły rzeczy, a jednak przyjemniej byłoby myśleć że nie była bez serca: Ale czy była bez serca? Byłże to brak serca, lekkomyślność, lub obrażona godność kobiety? Brak serca byłby bardzo brzydką rzeczą w kobiecie, a lekkomyślność jeszcze gorszą. Spokój w obejściu był z drugiej strony nadzwyczaj przyjemnym. Jego matka tak była spokojną, rzadko się uśmiechała, i nie pamiętał żeby ją kiedy widział śmiejącą się, zawsze była pełną godności, spokojności, powagi; stworzoną była żeby nosić dawne imie i zajmować wysokie stnnowisko. Na próżno by szukał kobiety, którąby z nią mógł porównać. Tak rozmyślając przeszedł wielkiemi krokami ogród a potem park i nareszcie powiedział sobie że dobrze zrobił nie zapoznawając Lady De Benham z panną Alleyne, przynajmniej w obecnej chwili.

Tymczasem, ona weszła z uśmiechem do domu, z uśmiechem przeszła obok służącej otwierającej jej drzwi i poszła prosto do swego pokoju gdzie się zamknęła. Zdjęła kapelusz i rękawiczki i długo się przypatrywała pierścionkowi z serkuszkiem, który Temple De Benham włożył jej na palec w ten dzień tak szczęśliwy w Chillingford, cztery miesiące zaledwie temu; potem zdjęła go, ucałowała i spoglądając jeszcze na niego jakby z żalem, starannie go schowała. To uczyniwszy uklękła przed łóżkiem, zakryła twarz rękami i gorzko zapłakała.

Czy zapomniała?

ROZDZIAŁ XXX.

Brat i Siostra.

Szóstego dnia po powrocie swoim do Anglii, Temple De Benham był już w drodze do Petersburga, gdzie miał się upominać o sumę pięćdziesięciu tysięcy rubli uważaną już od dawna za przepadłą. Gdyby po dwóch lub trzech tygodniach był powrócił z niczem, pan Hardwicke byłby musiał przyznać, że się tego zupełnie spodziewał, to też kiedy owszem dobra jego gwiazda, wsparta jego energją i przebiegłością osiągnęły najszczęśliwsze skutki i odebrał co do grosza powyższą sumę pan Hardwicke głośniej jak kiedykolwiek trymfował, coraz bardziej był przekonanym, że prawdziwy skarb odkrył, i siebie i jego wychwalał przed panem Tymoteuszem Knolt.

— Muzyka doprawdy! mówił— co to za myśl żeby człowiek tak nadzwyczajnych zdolności jak De Benham, tracił czas nad muzyką. Przypominasz go sobie Klaudyo? Był na jednym z naszych wieczorów przeszłego roku, i grał na fortepianie, jestto, wiesz, przyjaciel Arczy, organista u ś-tej Hildegardy, młody człowiek, blady, odznaczającej powierzchowności, a co za rozum!

Panna Hardwicke, nie podnosząc oczów z książki, którą była zajęta (było to wieczorem po obiedzie w Strathellan Hause i brat i siostra znajdowali się sami), odpowiedziała z roztargnieniem.

— Tak przypominam sobie, że organista grał; nie uważałam jak wyglądał.

— Jestto nadzwyczajny człowiek, młody, ciągnął dalej pan Hardwicke, wysoko wykształcony, mówi sześcioma czy siedmioma językami, pełen energii i przytomności umysłu, takiemi ludźmi byli w dawnych czasach zdobywcy nowych światów, założyciele potężnych państw.

— Bardzo dobrze grał, rzekła Klaudya z najwyższą obojętnością.

— Zrobi kiedyś majątek, powiedział pan Hardwicke, sam mi mówił, że chce go zrobić.

Panna Hardwicke złożyła książkę i powiedziała z lekkim uśmiechem pogardy.

— Szlachetna ambicya?

Kupiec przywdział wyraz powagi. Pogarda bogactw nie była cnotą zasługującą na jego uwielbienie.

— Jestto ambicya godna poszanowania, odpowiedział uroczyście, godna poszanowania i pochwały. Hardwickowie jej hołdowali przez.. przez wiele pokoleń.

— Powiedz przez trzy pokolenia, bo nasze drzewo genealogiczne nie bardzo wysoko się wznosi.

— Jesteś bogatą od urodzenia, Klaudyo, ciągnął dalej pan Hardwicke, który, gdy mu tak przerwała, lekko się zarumienił. Nie wiesz co to jest pracować, i nie wiesz co to jest być ubogą, więc gardzisz pracą i nie umiesz oceniać wartości majątku. Daruj mi jeżeli ci to powiem, ale okazuje to z twojej strony brak zdrowego sądu, a wiesz że mam zawsze wielkie poważanie dla twego sądu.

— A to kazanie, mój najdroższy bracie, zawdzięczam temu bohaterowi grającemu na fortepianie.

Pan Hardwicke nie mógł się wstrzymać od pewnych oznak niecierpliwości.

— Jesteś w bardzo surowem usposobieniu dzisiaj, Klaudyo, powiedział.

Nastąpiło milczenie, wśród którego olbrzymy bliźnięta wniesli herbatę. Podali ją na srebrnych tacach, z taką uroczystością i powagą, jak gdyby Lord Major, i całe zebranie aldermanów miało udział wziąć w tej uczcie.

Kiedy odeszli, pan Hardwicke rozłożywszy i złożywszy kilka razy swój dziennik, odkaszlnął i nowy wprowadził przedmiot rozmowy.

— Widziałem bilet Lorda Stockbridge na dole, powiedział.

Panna Hardwicke znów była zajęta swoją książką i znów odpowiedziała nie podnosząc głowy.

— Tak; był tu dzisiaj.

— I nie zastał ciebie w domu?

Skinęła głową potakująco.

— To szkoda.

— Doprawdy? powiedziała, lekko podnosząc brwi, ale trzymając zawsze oczy utkwione w książkę; nie widzę dlaczego.

Pan Hardwicke znów pobity, schował się za gazetę.

Tym razem milczenie dłużej trwało.

— Zdaje mi się, powiedział nareszcie, że kiedy Lord Stockbridge był z wizytą, moglibyśmy go zaprosić na obiad.

— Moglibyśmy? powtórzyła Klaudya dumnie.

— Tak—czy ci się to wyraźnie niepodoba? Prosty kupiec z City kiedy zaprasza do swego stołu osobę zajmującą stanowisko Lorda Stockbridge.....

Nie dokończył tak go zmięszało wejrzenie jakie na niego siostra rzuciła.

— Lord Stockbridge, powiedziała, nie jest półbogiem. Interesa jego są w złym stanie, dobra obdłużone, a jego przeszłe życie, podług tego co słyszałam, nie zasługiwało na względy.

— Nic nie wiem o jego przeszłem życiu, odpowiedział pan Hardwicke z żywością; był zapewne biednym, bo pochodzi z młodszej linii i niedawno oddziedziczył tytuł; ale jest to człowiek dobrze wychowany i honorowy.

— Tak, i zapewne nie jest mniej wart od innych wydających więcej niż mają, powie-

działa panna Hardwicke jak gdyby znudzona tym przedmiotem, ale nie czuję się bynajmniej usposobiona do uwielbiania go, jak gdyby był wyższą istotą.

— Nie wiem czy kto go kiedy uważał za wyższą istotę lub miał ochotę go uwielbiać! nie zdaje mi się, żeby to było oddaniem hołdu zapraszać kogo na obiad.

— Zaproś go więc.

— A co do arystokratycznych dążeń i upodobań, zdaje mi się, Klaudyo, że twoje są daleko więcej arystokratyczne od moich. Nie mam wielkiej miłości dla towarzystwa z City, ale ty go poprostu niecierpisz, i jeżeli mogę to powiedzieć, czasem bardzo otwarcie okazujesz twoję odrazę, a jednak czasem zdawałoby się że lordowie i biskupi nie są jeszcze dość dobrem towarzystwem dla ciebie.

Pan Hardwicke mówił z żywością, bo jego siostra bardzo źle cały wieczór się z nim obchodziła i czuł się urażonym; szczególnie co do ostatniego przedmiotu, bo kiedy mówił o zaproszeniu Lorda Stockbridge, naraził się, żeby właśnie jej się przypodobać.

Ale panna Hardwicke uśmiechnęła się tylko; i uśmiech jej nie był tak miłym jak powinienby być uśmiech tak ładnych ust.

— Zdaje mi się, że mam wstręt do wszelkiego towarzystwa, powiedziała, i nie jestem bynajmniej pewna czy lordowie i biskupi są mniej nudni od aldermanów i od żon tych ostatnich. Będzie to zapewne wielki obiad.

— Tak, wielki ale bardzo wyborowy ośmnaście osób naprzykład, oprócz nas.

— Ośmnaście osób zasługujących na wybór, kiedy Parlamet jeszcze nie otwarty! To będzie trudno.

— Nie zdaje mi się, możemy zaczekać ze trzy tygodnie, kiedy już Izby będą zasiadać. Sir Jan i Lady Dawkins są w mieście, Sir Jan był dziś rano u mnie w kantorze.

— Sir Jan jest tylko dożywotnim baronetem.

— Jednak musimy go zaprosić, i także Cromarty ze Spraw wewnętrznych i Biskupa z Patagonii.

— Lepiej byłoby angielskiego niż kolonialnego biskupa.

— Ale on tak dobrze rozmawia, Klaudyo. Zresztą znamy tylko jednego angielskiego biskupa...

— Prawda, i mieszka o dwadzieścia mil. Biskup z Patagonii musi ujść.

— Sir Fryderyk Howe?

— Lekarz!

— Tak, ale baronet, i bardzo uczony człowiek.

— Jeżeli zaprosimy, Sir Fryderyka Howe, to nie można już myśleć o Pułkowniku Calderon. Dosyć będziemy mieli Towarzystwa Geologicznego bez Geograficznego.

— Sir Salomon i Lady Bradfoot?

— Niepodobna, jak tylko wprowadzisz aldermański żywioł, cały urok zniknie.

— Wiesz, że został wybrany do Parlamentu.

— Tak, ale wiem także, że jej ojciec był krawcem. Sir Salomon mógłby ujść, ale lady Braedfoot nie jest do pokazania.

Tak przejrzeli cały szereg znajomych, dopóki wielki bronzowy zegar nie wybił jedenastej, poczem panna Hardwicke powstała żeby dobranoc powiedzieć bratu. Zawsze grzeczny i nadskakujący dla niej, zapalił jej świecę i do drzwi ją odprowadził.

— Zapomniałem jeszcze powiedzieć—rzekł —że się jutro spodziewam młodego De Benhama z powrotem z Petersburga. Zdaje mi się, że trzeba go będzie zaprosić na obiad razem z Tymoteuszem Knolt i z kilkoma osobami z City.

Panna Hardwicke okazała zdziwienie i niezadowolenie.

— Czy to koniecznie?—zapytała zimno.

— Nie koniecznie, zapewne, ale może się przydać do interesów.

— Wiesz, że nigdy się nie sprzeciwiam temu co może być korzystnem dla interesów.

— Czy masz jakie zaproszenie na przyszły poniedziałek?

— Zdaje mi się, że nie.

— Niechże będzie w poniedziałek, możemy także zaprosić Arczy Blyth.

— Jak ci się podoba i kiedy ci się podoba.

— Dziękuję ci, moja droga Klaudyo. Dobranoc.

To mówiąc, p. Hardwicke, jak co wieczór czynił, dotknął się ustami na wpół odwróconej twarzy siostry, i udał się do biblioteki żeby wypalić cygaro.

Temple De Benham przyjechał do Londynu nazajutrz, prosto z Petersburga i pan i panna Hardwicke mieli zaszczyt listownie prosić go na dzień naznaczony na obiad do Strathellan Hause, ale z niewymownem ich zdziwieniem nie przyjął zaproszenia.

ROZDZIBŁ XXXI.

Oczekiwanie.

Stary rok jeszcze nie skonał kiedy De Benham opuścił Anglią, udając się do Petersburga, nowy rok dokończał drugiego swego miesiąca, kiedy powrócił, a tym nowym rokiem, był rok pański tysiąc ośmsetny sześćdziesiąty pierwszy. Dla niego był to najnowszy rok jaki kiedykolwiek zaczął, pierwszy zupełnie nowego życia. Zaczynał go jakby podróżny wpływający na nieznane morza; zaczynał go z nowemi celami, nowemi pragnieniami, nowemi nadziejami; zaczynał go, zrobiwszy zupełny rozbrat z przeszłością i złączywszy się tylko z przyszłością. Nie miał odwagi spojrzeć w tył, bo mu się zdawało, że Młodość, Miłość, Poezya, Sztuka, umarły razem z tym starym rokiem, i w jego grobie pochowane zostały. Nie, nigdy już nie mógł spojrzeć poza siebie; zwrócić się całkiem musiał ku tej nieznanej przyszłości, gdziekolwiek go miała zaprowadzić ta droga wiodąca naprzód.

Nadzwyczajny był ten rok nowy 1861, gdyby można było przewidzieć wszystko co przyniesie! Nietylko ważny dla Templa De Benham, ale także dla losu narodów i niosący wolność dla milionów istot ludzkich. Już w tym samym miesiącu lutym, kiedy nasz podróżny bawił jeszcze w Petersburgu, Cesarz Wszech Rosyi ogłosił usamowolnienie chłopów na całej przestrzeni swego ogromnego państwa. Już Franciszek Neapolitański schronił się do Rzymu i Wiktor Emmanuel został ogłoszonym królem Włoch. Już także rozpoczynała się ta potężna i tak długa walka pomiędzy Północnemi a Południowemi Stanami Amerykańskiej Rzeczypospolitej, która miała zmyć plamę niewolnictwa z dziejów Nowego Świata. Odłączenie się sześciu trzymających za niewolą stanów było już czynem spełnionym, prezydent Davis został ogłoszonym w Montgomery i wieść o wielkiej wojnie krążyła już w powietrzu.

Temple De Benham należał już stanowczo do urzędników pana Hardwicke, chociaż nie chciał się związać żadnem rocznem zobowiązaniem. Nie życzył sobie jak mówił, tracić swojej wolności, ani przyjąć stałej płacy, jakkolwiek wysokiej. Jednak pan Hardwicke silnie go kusił, ofiarując mu nawet sześćset funtów na rok za jego ciągłe usługi. Sześćset funtów na rok, był to dochód przyzwoity, przy którym można było się ożenić, dom utrzymywać i mieć nadzieję życia wygodnego a nawet nieco zbytkownego, ale powtarzał sobie, że nie przyzwoitego utrzymania, ale kapitału potrzebował. Gdyby teraz przyjął sześćset funtów na rok z możliwością podwyższenia swej płacy do ośmiuset, do tysiąca funtów, nie mógł się już niczego więcej spodziewać, choćby nawet żył najdłuższe lata. Nie takim to sposobem mógł dokonać przysięgi, nie takim sposobem odbudować zamek i odkupić dobra przodków. Skromne oszczędności jakie mógłby zrobić na sześciuset funtach rocznego dochodu, byłyby jak krople wody w porównaniu ze złotym potokiem jego marzeń. On teraz potrzebował wolności, żeby czuwać nad wypadkami i korzystać z nich. Niespokojne czasy nadchodziły, wielkie zadania zajmowały umysły wzburzone i wielkie interesy zagrożone były, wielkie zmiany się przygotowywały na wszystkie strony. Już przeczuwał, chociaż jeszcze niejasno, jakie sposobności mogły mu się przedstawić, jeżeli tylko potrafi cierpliwie czekać i oprzeć się pokusom. Teraz gdy szczęście zdawało się tak stanowczo na jego stronę przechylać, byłby szalonym przyjmując zobowiązania, które by go krępowały gdy chwila stanowcza nadejdzie i wody pomyślności gotowe będą go nieść ku wymarzonym celom. Odrzucił więc ofiarowaną przez pana Hardwicke stałą pensyą, jak odmówił jego zaproszeniu na obiad, o czem dowiedziawszy się p. Tymoteusz Knolt, zaręczał z największą pewnością, że był szaleńcem. Pryncypał pana Tymoteusza Knolt nie był wcale tego zdania. Poznał w postanowieniu De Benhama jeden dowód więcej niezależności, zaufania w swe siły i ocenił go i szanował tem więcej. Młody człowiek jeździł więc to w tę, to w ową stronę, spełniając polecenia, jakie mu powierzał pan Hardwicke, zarabiając dość łatwo i przyjemnie pieniądze, czekając na wypadki i na swoję chwilę.

Niedługo Ameryka stała się wielką widownią świata. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, Europa patrzała na przygotowującą się burzę i niespokojnie oczekiwała pierwszych gromów. Marzec przyniósł liczne wróżby nieszczęścia. Prezydent Lincoln odmówił przyjęcia komisarzy stanów odłączonych, a prezydent Davis zwiastując swe zamiary wojny, żądał stotysięcy żołnierzy. W kwietniu wojna się zaczęła; twierdza Sunter dowodzona w imieniu Północnych Stanów przez majora Andersen, była zdobytą przez wojska skonfederowanych, i prezydent Lincoln zwołał pod broń siedmdziesiąt pięć tysięcy ludzi. Prezydent Davis wydał listy upoważniające, dowódcom korsarzy, których wielka liczba zaraz śmiało się wysunęła. W Harper's Ferry i w Norfolk Nawy-Yard, oficerowie arsenału Stanów Zjednoczonych widząc się otoczeni wojskami skonfederowanemi, zatopili i spalili swoje zapasy i okręty wojenne i prezydent Lincoln ogłosił blokadę całego wybrzeża południowego od Wirginii do Texas.

Narody mogły się teraz przyglądać temu smutnemu i okropnemu widowisku wielkiego ludu rozdwojonego, przygotowującego się z obydwóch stron z okrutnym pośpiechem do śmiertelnej walki, zwracającego wszystkie siły jedni przeciw drugim, i zamieniającego swą miłość na gorzką zawiść rozpaczliwej tragedyi, odgrywającej się na olbrzymiej widowni, w obec całego świata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюля (2 Августа) 1875 г.